

Antoniem Uchodźca 142

Irma Galster z domu Hładusz, ur. I.I.1929r. w Rymanowie, córka Stefana i Jadwigi z domu Zetwarnickiej. Ojciec był przed wojną niższym urzędnikiem państwowym.

ARCHIWUM REGIONALNE

[Kilka ostatnich lat przed wojną mieszkaliśmy we Lwowie, na Filipówce, przy ulicy Iubeckiego, w domu z widokiem na cmentarz Obrońców Lwowa. Rodzina składała się z sześciu osób, rodziców i czworga dzieci: bliźniacy z 1924 roku /brat i siostra/, i młodsza siostra z 1932 roku. Starsze rodzeństwo i ja chodziliśmy do szkoły; młodsza siostra właśnie miała zacząć naukę. Ja chodziłam do szkoły powszechnej im. Marii Bonopnickiej, przy ulicy Rozwadowskiego. W momencie wkroczenia Armii Czerwonej do Polski przebywaliśmy we Lwowie. Brakowało tylko ojca, który był na froncie.]

W pierwszej chwili poczuliśmy ulgę, kiedy skończyły się bombardowania i ostrzeliwania pobliskiego lasu /wówczas szrapnele przelatwały nad nami/, ale kiedy zorientowaliśmy się, że Rosjanie nie są naszymi sprzymierzeńcami /jak nam się z początku wszystkim wydawało/, przeżyliśmy straszne rozczarowanie. Pamiętam z tych czasów drobny incydent. Spotkałam na ulicy koleżankę z sąsiedztwa, Niemkę, która z wyraźną satysfakcją powiedziała: "Lwów już nie jest polski!" Na to ja odparłam: "Ale i nie niemiecki!"

[Widziałam żołnierzy radzieckich, którzy chodzili całymi kolumnami w dziwny, niespotykany ~~przez~~ krokiem, śpiewając w kółko te same ukraińskie i rosyjskie pieśni. Pamiętam żołnierzy radzieckich w niespotykanych dotychczas czapach, z czubkami, z dużymi, czerwonymi gwiazdami, w obszarpanych szynelach, z workami zamiast plecaków. Pamiętam oficerów z drzewianymi kuferkami, czasem z czajnikami w rękę. Ich żony w niemodnych płaszczach z wysokimi kołnierzami, czasem w futrach, spod których wystawały dziwne suknie, o których się mówiło, że to są koszule nocne.

Chyba pod koniec września znowu poszliśmy do szkoły. I następne rozczarowanie: przeszedłam już do IV klasy, ale okazało się, że chodzę znowu do III - ciej. Podobno nasz program był starszy niż radziecki i w ten sposób przystosowano nas do nowego programu.]

W szkole nie odczuliśmy specjalnych zmian, ponieważ nauczyciele pozostali ci sami, skład uczniów również ten sam, ~~nie~~ nie pamiętam jakiejś szczególnej indoktrynacji. Nową sprawą dla mnie było na przykład obchodzenie Wroczystej Zespołowej Nowego Roku, gdzie pojawił się Dziadek Mróz i rozdawano prezenty. Dostałam wtedy na przedmiotów w nauce rosyjską książkę (kolcowa) o Stalinie, z której byłam bardzo dumna. Kiedy jednak przyniosłam ją do domu, to tatuś tak lekceważąco odniósł się do tej sprawy, że próbowałam nie przybrać.

Zacząło się całkiem nowe życie. Pierwsze kolejki po chleb ~~kiek~~, po cukier, albo po cukierki do herbaty. Wkrótce do domu wrócił ojciec, zresztą nie sam. Spotkał przypadkowo wujka, Adama Felczarskiego, który w ostatnich latach przed wojną był w KOP-ie i wolał nie wracać do tej miejscowości, gdzie ostatnio przebywał. Wkrótce podjęli pracę w jakiejś rzemieślniczej spółdzielni, a w wolnych chwilach jeździli na wieś po żywność. Ponieważ wywózki ze wsi zaczęły się dość wcześnie, coraz częściej mówiło się i u nas o grożącym niebezpieczeństwie, ale na wyjazd na tak zwaną "drugą stronę" przez zieloną granicę, ~~zwłaszcza~~ z dziećmi, rodzice nie mogli się zdecydować.

Z początku, po wkroczeniu Rosjan, były ważne polskie pieniądze, ale potem stopniowo przestano je przyjmować. Byłam zrozpaczona, ponieważ długo zbierałam na zegarek, ale nie zdołałam go kupić.

[Nadeszła zima. ~~tyśną~~ mieli <sup>im</sup> piece, ale nie było opału. Brat z siostrą robili w nocy wypadki do pobliskiego lasu i na sankach /co było zabronione/ przywozili gałęzie lub kłody, którymi ogrzewaliśmy pokój. Często przychodzili do nas znajomi z sąsiednich domów, nowszych, <sup>1</sup> żeby się ogrzać, bo u nich było centralne ogrzewanie, w którym nie było czym palić. Tak nadeszła wiosna.

40 kwietnia 1940 roku, w nocy, zastukano do drzwi. Z dozorcą przyszło kilku NKWD-zistów, którzy powiedzieli, że mają nakaz rewizji. Leżałam w łóżku, przerażona i tylko myślałam, żeby nie zajrzeli do bloku rysunkowego brata, który lubił i umiał rysować i wykonał ostatnio kilka patriotycznych plakatów. Oczywiście na rewizji się nie skończyło - zabrali tatusia, a przy okazji zabrali wujka, który u nas przez całą zimę mieszkał. Kiedy wyszli już z domu, brat wziął rower i pojechał do innego wujka, Józefa Felczarskiego, lekarza /brata aresztowanego<sup>o</sup>. Gdy przyjechał tam okazało się, że ten też został już aresztowany pod pretekstem, że w szpitalu grupa lekarzy - on między innymi - przechowywała broń. Oczywiście zarzut był wymyślony. Brat dowiedział się tylko tyle, że wszystkich zawieziono do więzienia, do tzw. Brygidek. <sup>przez następnych kilka lat</sup> Od tego momentu nie wiedzieliśmy nic ~~ani~~ o ojcu, natomiast o obydwóch Felczarskich ślad zaginął i do dzisiaj nic o nich nie wiadomo.

13 kwietnia 1940 roku podobne stukanie do drzwi <sup>wśród nocy</sup> i tak samo jak poprzednio - znów w towarzystwie dozorczy - zjawili się NKWD -ziści. Tym razem powiedzieli, że



no. Przede wszystkim była taka jakaś bania czy dziura, która miała służyć jako ubikacja. Była ona zupełnie otwarta, dlatego poświęciło się czyjeś prześcieradło, żeby osłonić to miejsce. Tak rozpoczęliśmy naszą podróż.]

Powiedziałam, że było 21 osób w wagonie. Jechała z nami p. doktor Nieświatowska z dwoma synami: Andrzejem i Staszkiem, jeden mniej więcej 10-cio letni, drugi w wieku mojego brata - 15-ście, 16-ście lat/, poza tym z p. Nieświatowską jechał jego brat p. Magoński, mecenas, nie pamiętam czy z Równego, czy z innej miejscowości, który przyjechał ją odwiedzić we Lwowie i trafił akurat na dzień aresztowania, więc zabraną go również. Ten pan zostawił rodzinę: żonę i dzieci w miejscowości, gdzie mieszkał. Poza tym była p. profesorowa Młodnicka /mąż - profesor gimnazjalny/ wykładał chyba przedmioty klasyczne/, sam p. profesor Młodnicki oraz ich służąca - Julia, starsza już osoba. Byli państwo Fajączkowsy /pan ten był przed wojną przez jakiś czas starostą, chyba w Tarnopolu/, którzy jechali z dorosłą już córką - panną Edytą. Oprócz tego byli państwo Stankewiczowie; on był krawcem, a jego żona nigdzie nie pracowała; ludzie w średnim wieku, jak teraz pamiętam. Była jeszcze p. Furdynowa, <sup>sięca</sup> żoną z synem, 7-8 letnim chłopcem; były także dwie samotne panie pułkownikowe: p. Jętłowa i p. Prausowa.

Jechaliśmy około dwóch tygodni. Wagony były, oczywiście, zamknięte od zewnątrz, małe okienka na wysokości górnych nar, zadrutowane, ale coś się jednak widziało. Jedną z nielicznych rozrywek, na przykład, było głośne odczytywanie, na wysłuchanie, nazw mijanych miejscowości. "Grażdankę" znaleźliśmy ze szkoły, z lekcji ukraińskiego, więc nie mieliśmy z tym kłopotów. Pamiętam, że przejeżdżaliśmy przez Uljanowsk, Ufę, Złotoust, Czelabińsk, ale największym przeżyciem dla mnie był przejazd przez Wołgę, ~~potem przez Ural~~. Fakt, że już jesteśmy w Azji i zbliżamy się do Syberii napawał mnie z jednej strony jakimś lękiem, a ~~z drugiej~~ z drugiej strony jakby dumą; o Syberii i Sybirakach coś już się wówczas wiedziało. Wołgę pamiętam jeszcze z innego powodu, a mianowicie ileś godzin przed przyjazdem nad Wołgę, nakarmiono nas okropną zupą ogórkową - było to coś ~~okropnie~~ strasznie kwaśnego i słonego z pływającymi ~~w tym~~ łupinami kiszonych ogórków. Po tym "daniu" ogromnie chciało się pić. Od dłuższego czasu wody nam nie dawali i dopiero po wielu prośbach, upominaniu się, właśnie, kiedy byliśmy nad Wołgą, dano nam /nie pamiętam, czy przyniesiono, czy któryś z naszych panów przyniósł/ wiadro wody. Mówiło się, że to była

woda z Wołgi. Baliśmy się pić ją surową i używaliśmy jej dopiero po przegotowaniu, więc jeszcze) nieprędko można było pragnienie ugasić. Na szczęście mieliśmy ze sobą prywus. W ogóle jedzenie było okropne. Chyba dawano po trochę chleba, ale nie bardzo pamiętam jaki był i ile. Dobrze pamiętam, że kiedyś dano nam suche i słone śledzie, najczęściej jednak dawano na wagon wiadro kaszy jaglanej} - rzadkawej i rozgotowanej,} polanej po wierzchu jakimś olejem. Na początku nie chcieliśmy tego w ogóle jeść, zresztą mieliśmy ze sobą sporo własnego jedzenia. Stopniowo jednak zaczynało brakować gotowanego, tak że po trochę zaczęliśmy się do tej kaszy dobierać, ale na początku mamusia polewała nam tę kaszę domowym sokiem, odgarniając warstwy oleju, dzięki czemu było to jadalne. Kiedy już zabrakło domowego chleba, pamiętam, że pogryzaliśmy suchary, ponieważ przez całą zimę we Lwowie suszyliśmy suchary. Mamusia była przezorna i suszyła każdą reszkę chleba, poza tym} stawialiśmy we Lwowie częściej w kolejkach, żeby <sup>go, jak narkotyk</sup> kupić więcej chleba. Zabraliśmy więc ze sobą worek sucharów i nimi uzupełnialiśmy przydziałowe jedzenie. To, co mówię o jedzeniu dotyczy tylko moich wspomnień, choć myślę, że z innymi było podobnie. Z początku, jak powiedziałam, ta kasza nam "nie szła" i wyrzucaliśmy ją z pociągu, ale niepo prostu na pole, tylko wtedy, gdy pociąg jechał wolniej, albo wręcz stał, a do pociągu podbiegali ludzie z okolicznych wsi. Podstawiali czapki i jakieś naczynia - wtedy wyrzucaliśmy im kaszę do tych czapek. Na ogół nie było to zbyt łatwe, ponieważ nasi strażnicy nie dopuszczali ludzi do nas, ale mimo wszystko zawsze się znaleźli tacy sprytni, którzy się przedostali. Widać było, że są spragnieni jedzenia, wygłodzeni, bardzo nędznie ubrani i w ogóle nędznie wyglądający. Resztki chleba wyrzucaliśmy po prostu przez okno, widząc zbliżających się ludzi. Jestem pewna, że ludzie ci byli szczęśliwi, że są mogli z tego jedzenia skorzystać. Ta nędza, mimo że wtedy nikt już z nas nie miał złudzeń co do rzeczywistego poziomu życia w Rosji, robiła na nas, dzieciach, przygnębiające wrażenie. Myśmy już wcześniej coś o Rosji wiedzieli, bo obserwowaliśmy tych pierwszych przybyszów /wojsko i ich rodziny/ we Lwowie, ale to, co widzieliśmy tutaj zdecydowanie pogłębiło nasze przykre wrażenie. Nie wpływały też dodatnio na samopoczucie dobiegające do nas z innych wagonów wiadomości /przenoszone przez panów delegowanych po jedzenie/ to o śmierci czyjejs, to o chorobie. Najgorsza jednak była niepewność. Nie wiedzieliśmy dokąd

nas wiozą, na jak długo, czy wszyscy będziemy razem, czy może rodziny rozdziela.]

Wreszcie pod koniec kwietnia /daty dokładnie nie pamiętam/ dotarliśmy do ostatniej stacji na tej linii - czyli do Kustanaja. Było to miasto wojewódzkie, ale właściwie wówczas była to taka duża wieś. Tylko część ulic miała prymitywne jakby chodniki i z grubsza ubite jezdnie, ~~ale~~ większość ~~ulic~~ wyglądała jak wiejskie ulice z wydeptanymi ścieżkami po bokach i zwykłą wyjeżdżoną drogą. Na skraju tego "miasta" były lepianki. W centrum było trochę domów murowanych, niezbyt wysokich.

Kiedy nas wyładowywali z wagonów, wiał silny wiatr. Ponieważ ziemia nie porośla jeszcze dobrze trawą, więc <sup>ci</sup>miotło jednocześnie straszliwym kurzem. W tym kurzu przez wiele godzin koczowaliśmy na stacji, oczekując na dalszy los. Co jakiś czas podjeżdżały ciężarówki - nieduże, starodawne, rozklekotane. Na nie ładowano ludzi wagonami. Wreszcie kolej przystąpiła do nas. Z trudem zmieściliśmy się na jednej z takich ciężarówek /21 osób + bagaż/ i powieziono nas przez step. Po drodze zatrzymywaliśmy się w dwóch posiołkach /osadach/. I znowu niezwykle dla mnie przeżycie: <sup>o</sup>wyglądając spod płachty, nagle zobaczyłam duże zwierzę <sup>o</sup>, po garbie rozpoznałam wielbłąda i usłyszałam jego ~~piżmykający~~ głośny ryk.

Jechaliśmy dalej, aż wreszcie wczesnym wieczorem zatrzymaliśmy się w wiosce, która nazywała się ALEKSIEJEWKA. Samochód stanął i zaczęto nas wyładowywać <sup>o</sup> na wielkim, pustym placu z budynkiem w typie baraku pośrodku. Z jednej strony tego placu stały dwa czy trzy drewniane budynki, ~~z których~~ i w któryś z nich mieścił się "Uprawlienijs" kołchozu, czyli biuro kołchozu. Zaczęto nas stopniowo, po kolei przydzielać ~~prze~~ do różnych ziemianek gospodarzom. Nasza rodzina była największa, więc niechętnie zapatrywano się na wzięcie nas do siebie. Wreszcie ruszyliśmy i my - ostatni. Wziął nas do siebie kołchozowy buchalter /szczetawod/ - widocznie zmuszono go do tego, skoro nikt dobrowolnie nas nie brał. Zresztą wyszliśmy na tym nienajgorzej, gdyż dzięki temu zamieszkaliśmy w drewnianym /jednym z kilku zaledwie w Aleksiejewce/ ~~domu~~ Dom składał się z dwóch normalnych izb, z drewnianymi podłogami i trzeciej gorszej - z glinianą podłogą <sup>o</sup> - jakby kuchni. Przydzielono nam ten środkowy pokój, między kuchnią i dużym pokojem, w którym zamieszkali gospodarze. Na noc rozkładaliśmy w pokoju na całą długość dywan na podłodze, na dywanie kołdrę i kładliśmy się wszyscy pokotem obok siebie. Nie było to najgorsze spanie i w

ogóle okazało się, że u tej gospodyni /u Wojewodzinów - tak się nazywali/ nie było nam najgorzej, choć trochę przeszkadzało z początku dziecko. Był to mały, półtoraroczny chłopak, który chorował i po jakimś czasie zmarł /ale było to już po naszym wyprowadzeniu się stamtąd/. Ci gospodarze mieli dwoje dzieci.

Przyjechaliśmy do Aleksiejewki w końcu kwietnia, kiedy już szykowano się do obchodów I-go maja. Przy tej okazji zobaczyliśmy, jak się chandel ożywił w miejscowej kooperatywie /jedynym sklepiku wiejskim/. Sklepik był przeważnie pusty, choć były tam jakieś przedmioty, których nikt nie kupował. Zwykle natomiast brakowało zapalek, mydła i w ogóle <sup>czegoś</sup> ~~trudno było kupić~~ <sup>coś</sup> sensownego i potrzebnego na codzień. Od czasu do czasu tylko "rzucano" niektóre bardziej atrakcyjne towary. Kiedy np. rozchodziły się wieści, że do sklepiku w sąsiedniej wsi przywieziono coś atrakcyjnego, wówczas bieглиśmy tam, choć byliśmy formalnie przywiązani do Aleksiejewki i nie wolno nam się było poruszać bez zgody władz. Praktycznie jednak do sąsiednich: Bałykty i Wasiljewki od czasu do czasu wybieraliśmy się. Ja chodziłam tylko do położonej o 2 czy 3 kilometry ~~dalej~~ Bałykty, ale brat i siostra docierali czasem i do tej dalszej wsi.

Właśnie przed 4-szym maja trafiliśmy na towary luksusowe, jak np. cukier w głowach, którego sprzedawano po ileś tam dekagramów, a także pierniczki /też sprzedawano po kilka sztuk/. Dzięki temu kupiliśmy trochę pierniczków, choć już dziś nie pamiętam skąd mieliśmy wtedy pieniądze. Trzeba zaznaczyć, że normalnie zresztą nie można było za te pieniądze nic kupić.

Wśród rzeczy, które bardzo nam się z czasem przydały, a które zabraliśmy ze sobą ze Lwowa, była maszyna do szycia /zabraliśmy ją ze sobą dzięki temu, że była to maszyna ręczna/. W związku z tym, że siostra <sup>Janina</sup> ~~chodziła~~ przed wojną do gimnazjum zawodowego /kończyła chyba IV-tą kl. gimnazjalną/ - już potrafiła coś uszyć. Przy tym była zdolna i pomysłowa, więc jeszcze w domu próbowała nam, siostrom, jakieś drobiazgi szyć. Mówię o tym, bo <sup>umiejętność</sup> ~~ten/fakt~~ był bardzo istotna dla naszej egzystencji w Kazachstanie. Otóż Janina ~~starsza siostra~~ postanowiła jeszcze przed I-szym maja coś mamusi przerobić i gospodyni nasza zorientowała się, że siostra szyje. Poprosiła o uszycie na święto sukienki dla swojej 40-cio letniej córeczki. Wiadomość rozeszła się po wsi i od tego czasu siostra zaczęła nieoficjalnie, po trosze zarabiać.

Dostawaliśmy ~~za to~~ żywność: parę litrów mleka, trochę kwaśnej kapusty, albo trochę ziemniaków. ~~Jednym słowem były to produkty podstawowe, ponieważ~~ ~~Jedynym~~ ~~produktami~~, w jakim kołchozie ~~nas~~ ~~zaopatrywał~~ był chleb; wypadało chyba po 50 dkg na osoby pracujące /wtedy jeszcze nie było tak źle/ i chyba po 15 albo 20 dkg na osoby pozostające na utrzymaniu. Pracowali mamusia i brat. Przydział dostawaliśmy co dwa - trzy dni, ale wtedy, gdy nie było nic innego do jedzenia, było to jednak bardzo mało. Nawet pieczywo musieliśmy uzupełniać, a tym bardziej gotowane jedzenie, które zdobywaliśmy całkiem sami. Dodatkowo kołchoz dostarczał naszej rodzinie /w związku z tym, że były dzieci, / odciągane mleko - litr, może troszeczkę więcej.<sup>W</sup> kołchozie nie było w obiegu pieniędzy - wynagrodzenie otrzymywało się <sup>naturze</sup>.

Już w dwa dni po przyjeździe przewodniczący kołchozu wywoływał wszystkich do pracy. To znaczy uprzedzono poprzedniego dnia i następnego od rana stukano w szyby wołając: "Na rabotu!" i osoby, które musiały pracować ~~już nas mamusia i brat~~ szły na cały dzień do pracy. Do pracy chodziło się przez lato do jesieni, ale nie takiej późnej, ~~bo nie było odpowiedniego ubrania~~. Właściwie jesień trwała bardzo krótko i szytko nadchodziła zima, a ubrania ani obuwia na te mrozy nie było. W związku z tym w zimie nie pracowało się w kołchozie, ~~wobec czego było nieco~~ ~~więcej czasu dla siebie~~. Mimo że <sup>zima</sup> w pomieszczeniach, w których mieszkaliśmy było bardzo zimno, to jednak coś można było robić. Siostrę <sup>jak już powiedziałam</sup> szyła. Mamusia robiła z prześcieradeł ~~takie~~ trójkątne chusteczki /kasynki/ na głowę. Z przodu, w ~~tych~~ <sup>ja, w na czole</sup> miejscu, które wystawało spod większej chusty, ~~na czole~~ wyszywała ~~mamusia~~ kolorowymi niemi różne wzorki, kwiaty; z brzegu robiła szydełkiem koronkę. Te <sup>"cuda"</sup> chusteczki się prało, krochmaliło, prasowało i ~~te~~ <sup>"cuda"</sup> całkiem niezle ~~by~~ sprzedawało (chyba po 6 litrów mleka, jeśli dobrze pamiętam/. W ogóle trzeba było bardzo kombinować, żeby nie umrzeć z głodu. Poza tymi kasynkami i szyciem, następnym źródłem utrzymania była sprzedaż różnych rzeczy: obuwie tatusia, ubranie, to z czego wyrastaliśmy i co nie dało się już przerobić, mundurek gimnazjalny brata, pierścionki, kolczyki/miałyśmy takie z turkusowymi niezapominajkami/. Za to kupowało się mąkę, jakiś kawałek mięsa, który w zimie zamarzał i używało się go, krojąc po kawałeczku, do kraszenia. Jeszcze inne źródło utrzymania stanowiła praca u gospodarzy, np. u takiej naszej sąsiadki /tatuszki - jak ją nazywalismy/ dość życzliwej nam, bo kiedyś rozkułaczanej. Brat pomagał jej trochę przy go-



spodarstwie i czasem dostał kawałek chleba czy trochę mleka za tę robotę.

Jeśli chodzi o wyszywanie i robienie koronek, to do tego potrzebne były, oczywiście, kolorowe nici. Muszę powiedzieć, w jaki sposób zdobywaliśmy te nici. Dość szybko nawiązaliśmy kontakt z Polską <sup>(mamusia, ja, Janina)</sup> chociaż niezbyt sprawnie krążyła <sup>to</sup> korespondencja.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że korespondencja jest cenzurowana. W związku z tym (w nieco naiwny sposób) szyfrowało się wiadomości, np: ciocia Frania - Francja, ciccia Anielka - Anglia. Interpretowaliśmy też wiadomości o pogodzie zawarte w listach, jako aluzje do wydarzeń politycznych.

Prosiłyśmy o przesyłanie, w listach właśnie, po trochę <sup>raznych</sup> kolorowych nici.

~~Przysyłano nam nici z trwałymi kolorami, a także zwykłe białe nici do szycia!~~

Poza tym pakowano też do listów po trochę herbaty, którą mamusia nosiła co kaczaków do sąsiedniej wsi, na sprzedaż. Za to dostawała trochę łożu, albo inne artykuły. Wszystko, cokolwiek zdobywało się do jedzenia starczało na bardzo niedługo, bo były to ilości niewielkie, a nas było przecież pięcioro. Mamusia była jednak bardzo dzielna: skrupulatnie rozdzielała ten prowiant i starała się, żeby zawsze było coś w zapasie. Nigdy nie było tak, żeby z dnia na dzień brakowało nam maki do zrobienia klusek.

Fowiem teraz parę słów o tym, jak ~~przeżyliśmy~~ żywiliśmy się. Pożywienie codzienne wyglądało właściwie tak samo, mianowicie: na śniadanie były kładzione kluski na wodzie, kraszone mlekiem; (każde z nas dostawało określoną ilość klusek, dokładnie wyliczoną). Najwięcej dostawał starszy brat, Zbyszek, ponieważ pracował, a poza tym intensywnie rósł i był stale głodny. Czasami dobierał się do schowanego na piecu worka maki i zauważyliśmy, że podjada ją surową, tak był <sup>↑</sup>wygłodzony. Na obiad zwykle był kapuśniak z wkrojonymi do niego kartoflami, w miarę możliwości dość gęsty i przeważnie czymś okraszony - kawałeczkiem baraniny, lub też odrobiną słoniny. Na kolację, jeśli nie było chleba (którego przecież brakowało) robiła mamusia tak zwane "pyszki", czyli placki ~~z maki~~ z razowej maki, smażone na żelaznej patelni. Każdy z nas dostawał po takim placuszku i kubku kawy z palonego zboża, <sup>zabarwionej</sup> ~~zabarwionej~~ mlekiem (oczywiście bez cukru, ~~bo brak~~ przez te wszystkie lata właściwie go nie widzieliśmy).

Zanim wybuchła wojna niemiecko - radziecka dostaliśmy parę razy paczki z Polski

od rodziny i znajomych. Moje koleżanki z klasy, z którymi nawet nie byłam tak bardzo zaprzyjaźniona (ponieważ do tej klasy niedługo chodziłam), a z którymi nawiązałam kontakt listowny, bardzo szybko zareagowały w ten sposób, że przysłały co najmniej dwie paczki z odzieżą. Była to używana odzież tych koleżanek, a przydała się bardzo, bo niektóre rzeczy mogłam sama nosić (ja, albo młodsza siostra), a inne rzeczy poszły na ~~przekaz~~ sprzedaż. W związku z tym z ogromną wdzięcznością wspominam te objawy solidarności, zdolność do organizowania natychmiastowej niemal pomocy przez ludzi właściwie zupełnie nam obcych.

~~XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX~~ [Nasze "samodzielne" życie, o którym mówiłam przebiegało tak dopiero wtedy, gdy zamieszkaliśmy ~~XXXXXXXXXXXX~~ osobno, a nie u gospodarzy (Wojewodzinów). We wsi było parę opuszczonych <sup>(ziemianek)</sup> ~~XXXXXX~~ (może po tzw. kułakach, a może z innego powodu) i jedną taką ziemiankę zajęli nasi Polacy ~~XXXXXXXXXX~~, a nas umieszczono w drewnianym domu przy owczarni. Była to jedna izba z drewnianą podłogą, z jakimś piecem. W lecie wydawało się <sup>Tam</sup> ~~to mieszkanie~~ całkiem sympatyczne od frontu, ~~które~~ okna wychodziły na wiejski <sup>duży</sup> plac porośnięty trawą, ~~i pustą~~, z drewnianym barakiem, tzw. klubem, i miejscem po dawnej cerkwi, z resztkami fundamentów. Ale w rzeczywistości było to bardzo nieprzyjemne mieszkanie z mnóstwem szcurek, które biegały niemal pod nogami, ~~gdzie~~ poza tym sieni była łącznikiem między ~~XXXX~~ owczarnią i naszym domem. W związku z tym jeszcze przed zimą mamusia wyszukała opuszczoną ziemiankę na skraju wsi do tej ziemianki przeprowadziliśmy się razem z jedną z samotnych pań z naszego transportu - panią Jetlową. Przed zimą zdążyliśmy tę ziemiankę ~~popatrzeć~~, tzn. wylepić gliną zmieszaną z nawozem, uszczelniając dach i ściany od zewnątrz. Podłogę myło się rozrobioną gliną. Ten obowiązek należał do mnie, ponieważ jeszcze nie pracowałam, nie potrafiłam też szyć, więc wykonywałam w domu prace porządkowe. Do mnie też należał obowiązek zdobywania w ciągu całego lata opału na zimę. Polegało to na <sup>sierpem</sup> ~~złocieniu~~ krzaków burzanu i na zbieraniu "pieriekatipolja", czyli krzaczków, które gdy uschną odrywają się od ziemi i przenoszone z wiatrem nabierają kulistych kształtów. Te "chrusty" się udeptywało i składało w dużej sieni połączonej z naszą ziemianką. Poza tym zbierało się tzw. "kiziak", czyli nawóz bydlęcy (przede wszystkim krowi) i te ususzone "placki" wkładało się do worków i przynosiło do domu. Miejscowa ludność paliła w piecu tym "kiziakiem", po uprzednim spreparowaniu go;

miesiło się ten zebrany przez całe lato "kiziak" i formowało cegły, które następnie suszyło się na słońcu. Dobrze się to paliło i dawało sporo ciepła.]

Nasza izba była właściwie przez całą zimę niedogrzana. ~~W~~ mrozy były w tamtych stronach ogromne. ~~W~~ ale nasza ziemianka, może na szczęście, była zawiewana śniegiem tak, że z trudem z ~~z~~ niej wychodziliśmy. Ten śnieg ocieplał [jednak] trochę ściany. Było to niebezpieczne na wiosnę, więc czyściliśmy otoczenie, żeby woda nie rozmyła nam ścian. Raz zdarzyło nam się, że kiedy wiosna przyszła gwałtownie (jak zwykle tam): woda popłynęła ~~z~~ ze stepu akurat koło naszego domu sporymi strumyczkami, to w jakimś momencie przebiła nam ścianę do sieni.

Jak powiedziałam, palenia w piecu nie dawało specjalnie dużo ciepła (chodziło raczej o to, żeby ugotować jakieś ciepłe jedzenie i głównie po to się w piecu paliło), więc chodziliśmy w domu bardzo ciepło ubrani. Nocą nakrywaliśmy się kołdrą i na nią kładliśmy jeszcze jakieś płaszcze, ale tym razem mieliśmy już łóżko. Było to jedno łóżko, na którym spaliśmy w piątkę ~~w~~poprzek dostawiając do niego ławkę, podobną do ławki z parku. Na ścianach, od wewnątrz było codziennie tyle szronu, że musieliśmy <sup>go</sup> zgarniać kawałkiem deseczki i zazwyczaj wypełnialiśmy nią całą miskę. Takie warunki życia odbiły się fatalnie na zdrowiu nas wszystkich, a przede wszystkim mamusi, która już przed wojną zaczęła chorować na reumatyzm. Było to jednak nasze najlepsze mieszkanie w Aleksiejewce, tam czuliśmy się samodzielni .

W ten sposób minęła pierwsza zima w Kazachstanie. Przez cały ten czas nikt z nas nie chodził do szkoły, choć wśród <sup>wywiezionych</sup> zesłanych było kilkoro dzieci w wieku ~~z~~ szkolnym . Nie liczę tu mojego brata, ponieważ miał on wtedy 16-17 lat i musiał już pracować, ani też dwóch chłopców Nieświatowskich, którzy mieszkali już w Kustanaju, gdyż pani Nieświatowska była lekarzem i dostała tam szybko pracę. Nie chodziliśmy do szkoły głównie dlatego, że nie było ani odpowiedniego ubrania, ani książek. Nikt zresztą nie próbował nas do tego namawiać ani zmuszać, ~~ta poza~~ ~~ty~~ ~~w~~ ~~wszyst~~ ~~my~~ ~~ś~~ ~~my~~śleliśmy, że nasz pobyt w Kazachstanie będzie krótki, więc nie myślało się o posyłaniu dzieci do rosyjskiej szkoły.

Trudno nawet opowiedzieć jak ciężka była dla nas ta pierwsza zima. Poza tym nam, dzieciom, było nudno. Nie mieliśmy ubrania, żeby wychodzić na trzeskający mróz (czasem wychodziliśmy ,ale bardzo rzadko), nie pracowało się, książek nie było

( to znaczy prawie nie było, bo ktoś miał "Quo vadis", które znałam już prawie na pamięć; ktoś parę książeczek dla dzieci, nawet ja miałam książeczkę - wszystko to czytało się w kółko). Dość szybko zaczęłam czytać książki rosyjskie, które pożyczalam od sąsiadów; pamiętam, że czytałam między innymi Puszkina. W opanowaniu alfabetu rosyjskiego pomogło mi to, że w szkole uczyłam się ukraińskiego.

Wiosna przychodziła w Kazachstanie nagle: zaczynały w niezwykłym tempie topnieć śniegi, a spod nich wyglądała już świeża, soczysta trawka. Mieszkaliśmy przy samym stepie. Widzieliśmy też jak zabierano się do ratowania resztek pogłowa owiec. Ginęły w ciągu zimy oczywiście nie tylko owce, ale ~~zycie~~<sup>ich</sup> było w tamtych stronach najwięcej. Przyczyna był głód i wycieńczenie, a sytuacja ta powtarzała się niemal co roku w kółko. Obserwowaliśmy ze zdumieniem, jak funkcjonuje gospodarka komunistyczna, zapomniano bowiem pozwozić w porę (przed zimą) skoszone siano ze stepu. Charakterystyczne dla tamtego klimatu było to, że wiosna i jesień trwały niezwykle krótko - właściwie istniało tylko lato i zima; kiedy więc przypomniano sobie o przygotowaniu paszy na zimę, drogi były już tak zawiane śniegiem, że nie było możliwe dostanie się w step.

Przez naszą wieś biegł głęboki jar, który wypełniano w ciągu zimy padłym bydłem. ( Nie pamiętam, co później z tym robiono i jak się tego pozbywano.) Widziałam czasem biednych ludzi w pobliżu tego jaru, którzy wyskupywali resztki sierści ze zdechłych owiec. Resztki, ponieważ zwierzęta traciły z głodu sierść i wyglądały jak skórzane worki wypełnione kośćmi. Oczywiście ludzie nie żywili się tą padliną (przynajmniej ja o tym nic nie wiedziałam), ale doskonale służyła ona psom. W każdej wiejskiej chacie właściwie był jakiś pies, ale gospodarze <sup>go</sup> nie karmili, więc biegały te zwierzęta po wsi szukając pożywienia. Do nas przywiązała się taka ruda suczka (wiedzieliśmy skądś, że się nazywa Damka) i ustaliliśmy, że każdy z nas ma obowiązek oddać <sup>leć</sup> jakiś kęs ze swojej porcji. Mówię o tym w tym momencie dlatego, że Damka wzruszając nam się zrewanżowała. Kiedy tylko było zaczęło we wsi padać - znaleźliśmy kilka razy pod rzad jakiś zamrożony kawał mięsa przed progiem. Przy nim kręciła się zawsze dumna Damka, mardając ogonem.

Kiedy więc nadchodziła tak gwałtownie wiosna kółchoz postanawiał skorzystać i podjąć próby uratowania resztek bydła. Oczywiście nie można było od razu wygnąć

owiec w step, ale przewodniczący kołchozów wpadł na pomysł, by na przednówku po-  
oddawać po kilka owiec na przechowanie tym kołchoźnikom, którzy sami mieli jakieś  
bydło. Im nigdy nie brakowało pożywienia dla zwierząt i mogli wykarmić jeszcze kil-  
ka sztuk dodatkowo. W zamian za to mieli prawo zatrzymania jakiejś części owiec  
dla siebie. Nasza rozkułaczona "babuszka" też dostała na przechowanie kilka owiec i  
mój brat układał te zwierzęta na wózek (były tak słabe, że prawie nie unosiły  
głów) i wywoził je w step. Tam rozkładał liście burzanu, żółtych kwiatów i  
na nich kładł owoce tuż przy świeżej trawce. Wtedy zaczynały trochę skubać i nie-  
które z nich dochodziły do siebie.

Nadeszło wiosna i lato 1941 roku. Mamusia i brat znowu poszli do pracy w koł-  
chozie. Tym razem byli już na tyle doświadczeni, że kiedy tylko w kołchozowym o-  
grodzie zaczęło coś rosnąć (pracował tam brat), to zjawiało się w domu czasem kil-  
ka marchewek, czasem trochę kapusty, czy inne warzywa. Myślę, że nawet ogrodnik,  
starszy, dość życzliwy człowiek, wiedział o tym, a może nawet sam podsuwał bratu  
jakieś warzywa. Oczywiście była to kradzież. <sup>Kradzież!</sup> My jednak szybko zdaliśmy sobie spra-  
wę, że jeśli sami nie zaopatrzymy się na zimę, to nie przeżyjemy; rzeczy na sprze-  
daż było coraz mniej. O zarobek z szycia było również coraz trudniej. W związku  
z tym, kiedy jesienią poszłam i ja do dorywczej pracy przy kopaniu ziemniaków,  
to przynosiłam zwykle po kilka kartofli na dzień wiadra. ~~Czywiście była to sprawa~~  
~~karalna, ale jeśli byśmy nie ukradli - nie byśmy nie mieli!~~ W ten sposób prawie  
zaopatrzyliśmy się na zimę. Nauczką było dla nas przede wszystkim to, że po cięż-  
kiej pracy mamusi i brata w kołchozie w 1940 roku (pracy za którą, przypomnę, dos-  
tawało się odrobinę mleka i chleba) stwierdzono, że nasza rodzina przejadła wię-  
cej niż tych dwoje zarobiło. Dlatego w następnym roku zabezpieczaliśmy się sami.  
Kradliśmy jak wszyscy miejscowi.

Wiadomo było jednak, że w przypadku wykrycia kradzieży dostaje się okrop-  
ne kary i wszyscy zdawali sobie sprawę, jak łatwo można za byle drobiazg dostać się  
na wiele lat do łagru. Natomiast, dziwna rzecz - oporów moralnych nie mieliśmy  
właściwie żadnych, choć wychowywaliśmy się w środowisku, gdzie przed wojną kradzież  
była szczególnie piętnowana.

~~XXXXXXXXXXXX~~ W czasie wakacji (1941 roku) my dzieci : tzn. Jacek Furdyna, moja młodsza siostra Marysia i ja ~~XXXXXXXXXXXX~~ <sup>z nimi</sup> chodziliśmy do przedszkola. Oczywiście byliśmy dużo starsi i przerośnięci, ale chodziło o to, żeby mieć co jeść. Kołchozowe przedszkole nas przygarnęło głównie w tym celu, żebyśmy pomogli przy dzieciach. Zatrudniono mnie od samego początku i do najmłodszych dzieci (do kołysania ich kiedy płakały, do wycierania, podcierania) i do dzieci najstarszych, które nauczyliśmy polskich zabaw (różne: "Lata ptaszek po ulicy...", "Koło młyńskie" itd.). Poza tym chodziliśmy na spacer w step i pamiętam jak całe przedszkole szło dwójkami, a na końcu szliśmy my, we trójkę. Kiedy śpiewali "Pomniat psy atamany, pomniat pol'skije pany" to całe przedszkole odwracało się i niemal ze złością patrzyło na trójkę "polskich panów".

[ Kiedy 22.VI.1941 roku wybuchła wojna radziecko-niemiecka, <sup>w jakimś stopniu</sup> zakłóciła ona normalny w <sup>tych</sup> stronach rytm życia. Zmieniła też, zdecydowanie na gorsze stosunek miejscowej ludności do nas. Przedtem miejscowi Rosjanie nie zachowywali się wobec nas ani wrogo, ani serdecznie. Tej gościnności i serdeczności, o której się mówi, myśmy specjalnie nie doznawali, ale też nie było z ich strony jakiejś szczególnej złośliwości. Nigdy też nie chcieli nam nic sprzedać, nie mówiąc o tym, że nigdy nas niczym nie poratowali; wchodziła w grę tylko wymiana na rzeczy. ~~to robili chętniej i wyciągneliby wszystko, co człowiek miał na sobie.~~ Staraliśmy się nie pokazywać pewnych rzeczy wartościowszych, ~~na których nam zależało,~~ któreśmy chcieli utrzymać jeszcze przez jakiś czas, bo ~~któś~~ <sup>któś</sup> chętnie wyłudziłoby wszystko, co <sup>im</sup> ~~tylko komuś~~ w oko wpadło. Mimo tego wszystkiego zachowywali się jednak wobec nas neutralnie, jeśli nie liczyć dzieciaków (10-cio, 12-stoletnich); które często rzucały kamieniami za nami, albo w najlepszym razie wrzeszczały: "Płaczka - - Nastojaczka". Prawdopodobnie coś takiego musieli usłyszeć w domu, sami przecież niewiele mogli wiedzieć o Polakach. Jednak zdecydowanie gorzej zaczęło się działać gdy wybuchła wojna. Nie wiem czemu to przypisać, ale nagle zwrócili się przeciwko Polakom. Zaczęli podejrzewać, że cieszymy się, że na nich Niemcy napadli i że w związku z tym jesteśmy wrogo usposobieni. Mało tego - zaczęły się plotki, że Polacy zatruwają studnie, że w paczkach do Polaków przychodzą bomby - takie opowieści nie z tej ziemi, w które wielu uwierzyło. ] W ciągu paru miesięcy ta sytuacja!

uległa zmianie, paczki też przestały przychodzić. Myślę, że ważną rolę odgrywała w tym wszystkim zazdrość - oni byli bardzo biedni. Pamiętam ludzi do tego stopnia biednych, że ich dzieci nie miały się zupełnie w co ubrać, <sup>albo</sup> np. takich sąsiadów, którzy <sup>ta</sup> nagrzewali duży piec chlebowy i po wygaszeniu go i częściowym wystudzeniu, <sup>do niego</sup> kobieta ładowała tam dzieci, żeby się ogrzały. Była to rodzina wielodzietna, a mąż poszedł na front, zostawiając dom bez żadnego zabezpieczenia. Bieda była powszechna,

Myślę, że traktowanie nas jak burżujów było skutkiem tamtejszej propagandy, która robiła z nas wrogów komunistycznego państwa - i dlatego wywiezienie nas uważano za słuszne i sprawiedliwe. X

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX Jeśli chodzi o wszechobecna w Rosji propagandę, o której wspominałam, to przypominam sobie różne jej przejawy. Na przykład do normalnego pejzażu radzieckiej wsi i miast należały tzw. "kołchoźniki" (czyli głośniki) istniejące na każdym kroku. Przekazywano przez nie między innymi wiadomości z frontu, oczywiście z odpowiednimi komentarzami. Kiedy np. Rosjanie musieli się cofać, to zawsze na z góry upatrzone pozycje, natomiast każdy drobny nawet zwycięstwo urastało do wydarzenia rozstrzygającego o losach wojny. Wszecieczna były też broszury polityczne, wydawane na niezłym, jak na tamte warunki, papierze. Natomiast normalnego papieru nie można było wcale dostać. Wykorzystywaliśmy te broszury jako zeszyty, pisząc na nich buraczanym atramentem.

XXXXXXXXXX Dostałam kiedyś w tłumaczeniu na rosyjski książkę Wandy Wasilewskiej pt. "Pokoik na poddaszu", którą doskonale pamiętałam z polskiego, przedwojennego wydania. Późnica polegała na dodaniu do ~~tekstu~~ przetłumaczonego tekstu odpowiednich komentarzy. Na przykład na zakończenie dodano konstatację: "Tak żywut diety w pańskiej Pol'sze".

Ponieważ cała nasza rodzina żyła

W którymś momencie otrzymaliśmy w Aleksiejewce przesyłkę pieniężną. Była to <sup>cała administracja</sup> suma <sup>zakupiona</sup> uzyskana <sup>z</sup> ze sprzedaży <sup>mebli i całego dorobku życia rodziców w Polsce,</sup> wynosząca ok. 100 rubli, czyli tyle ile starczyło na zakup kilograma masła na czarnym rynku. (Pówiłam już, że pieniądze, nawet jeśli ktoś je w ogóle posiadał, ~~nie miały~~ miały minimalną wartość. Jeśli chciało się kupić coś do jedzenia - trzeba było mieć ich rzeczywiście bardzo dużo). Wspominam jednak o tym wy-

darzeniu po to, żeby podkreślić dokładność ewidencji ludności, jaką prowadzili Rosjanie. W tej dziedzinie, przeciwnie niż np. w gospodarce, panował u nich wzorowy porządek. Dlatego nigdy nie uwierzę w świadчення NKWD, że ktoś zaginął bez wieści na terenie ZSRR, bo to było po prostu niemożliwe.

Stopniowo wszystko się uspokoilo i weszło na normalne tory. Dla nas zaczął się okres o tyle lepszy, że coś "na górze" zaczęło się zmieniać. ~~Fowoli docierały do nas wiadomości o umowie~~  
~~XXXXXX~~ (Fowoli docierały do nas wiadomości o umowie Majski - Sikorski. Szczegółów nie znaleźliśmy, zresztą nie od razu się to odbiło na naszym życiu i stosunku do nas. Władze nie miały zwyczaju informować o czymkolwiek, ale jakimś cudem wiadomości o tym, że się coś zmienia w stosunku do Polaków, że otrzymamy jakąś pomoc, że zmieniły się władze - zaczęły do nas docierać.

Wszystko to znaczyło dla nas bardzo dużo, tym bardziej, że ~~XXXXXX~~  
~~XXXXXX~~ stanowiło kontrast z wcześniejszymi zachowaniami władz radzieckich z czasów, gdy czuły się one bardzo pewne siebie (tzn. z okresu poprzedzającego wojnę z Niemcami). Wtedy wymyślono bowiem jeszcze jeden sposób, żeby nas upokorzyć - dawanie paszportów radzieckich. Była to straszna rzecz, bo nieprzyjęcie paszportu powodowało wywiezienie daleko, gdzieś do łagru. Wiem, że niektóre starsze dziewczęta (w wieku mojej starszej siostry) były na Ziemi Franciszka Józefa, między najgorszymi zbrodniarzami, w okropnych warunkach, bo właśnie nie chciały przyjąć tych paszportów. Z naszej wsi jedynie państwo Stankiewiczowie ~~(jak mówiłam wcześniej krawiec z żoną, ludzie w średnim~~  
~~wieku)~~ nie przyjęli paszportu. Wszyscy inni przyjęli, ~~paszporty~~ (Z naszego transportu, a właściwie wagonu, nie żyje już profesor Młodnicki, nie pamiętam też, czy co stało się z paniami Jetlową i Prausową, nie wiem, czy przyjęły paszporty czy nie/ Pamiętam jedynie, że państwo Stankiewiczowie zostali zabrani stamtąd i do dzisiaj nie wiem, jakie były ich dalsze losy. Mamusia nie mogła sobie pozwolić na pójście do łagru, mając pod opieką czworo dzieci. Wszyscy przeżywali negatywnie to "święto", czyli moment odbioru paszportu w ~~XXXXXX~~ "sel-sowiecie", ~~XXXXXX~~ gdyż zdawało się, że przekreśla to już całkowicie możliwość powrotu do kraju. Po wielu miesiącach poznaliśmy kilka osób, które wróciły z łagrów, kompletnie zakłamanie, a poza tym złamane, gdyż i tak zmuszono je do wzięcia radzieckiego paszpor-



tu. Mimo, że ich opór na nic się nie zdał, ci ludzie szalenie nam imponowali. Byłam wówczas dzieckiem i nie do końca rozumiałam całą tę sytuację, ale zapamiętałam wygląd i opowiadania ludzi, którzy stamtąd wrócili. Jedna z tych dziewcząt wyglądała tak, jakby dostała pomieszania zmysłów i tak się przez dłuższy czas zachowywała. O ile wiem, już w Polsce wróciła do normy. Natomiast druga - mocniejsza psychicznie (Wanda Lutostańska) - opowiadała nam wiele szczegółów o tym swoim pobycie w lagrze.

Aleksiejewka była wsią ~~kazachską~~ kazachską, gdzie jednak przeważali Rosjanie. Poza tymi dwiema narodowościami było we wsi trochę Mordwinów znad Wołgi, poza tym Czuwasze i Ukraińcy, których wywieziono mniej więcej w tym samym czasie, co nas. Byli to bardzo biedni ludzie. Przywieziono ich chyba spod Kijowa, czyli z okolic żyznych i bogatych - tymczasem nędza ich była straszna. Pamiętam rodzinę Didenków, z którymi mieliśmy kontakt; byli oni obciążeni sześciorgiem dzieci, a za cały majątek przywieziony z Ukrainy mieli parę gęsi i trochę zboża w kacie jednej z izb, a nad zbrozem był urządzony taki kącik, ~~gdzie~~ ozdobiony ręcznikiem, gdzie zamiast ikony wisiały jakieś plakaty. Dzieci miały jedne buty, w których w zimie wyskakiwały wszystkie po kolei na dwór, jeśli zachodziła potrzeba. Oczywiście wyskakiwały tylko na moment, ponieważ ubrane były w portki i koszule z płótna lnianego, wyglądające, jakby były zrobione ze ścierek.

Potem, kiedy już zaczęła się wojna, przywieziono całą grupę Niemców znad Wołgi. Charakterystyczne było to, że Niemcy ciągle prali różne rzeczy, które suszyły się kpiło nich na sznurach i które były pofarbowane na jakiś dziwny fioletowawy kolor. Wynikało to może stąd, że nie było mydła do prania i ten kolor pomagał chronić bieliznę przed widocznym brudem. Drugą charakterystyczną rzeczą było to, że Niemcy w czasie pracy śpiewali nabożne pieśni. Przez otoczenie byli traktowani raczej niechętnie i sami też się izolowali. Nie mieliśmy w każdym razie z nimi żadnych bliższych kontaktów.

Żeby zakończyć opowieść o Aleksiejewce, w której spędziliśmy ponad rok, (właściwie prawie dwa lata) - chcę powiedzieć, że była to wieś, w której była przychodnia lekarska z felczerem i staruszką lekarką, która bardzo szybko przestała pracować - a także był szpital na kilka łóżek. Mówię o tym dlatego, że siostra starsza

bardzo ciężko chorowała <sup>na tyfus</sup> ~~podczas naszego pobytu tam~~ (lato 1941) i pamiętam, jak odnosiły się do niej kobiety leżące również w tym szpitaliku. Były ~~one wrogole~~ serdeczne, ~~ale~~ nawet do tego stopnia, że kiedy zauważyły czystą głowę ~~siostry (Janiny)~~, tzn. brak na niej wszy, to cicho szeptały między sobą, nie chcąc siostry martwić, że pewnie nie przeżyje tej choroby, bo nawet wszy się jej nie trzymają. ~~A chorowała~~  
~~za ona wtedy bardzo ciężko na tyfus~~

~~Inaczej to był ten dodatek do naszego życia, o którym dotychczas nie mówiłam~~

Staraliśmy się za wszelką cenę utrzymywać czystość, ale kiedy na przykład zaczęłyśmy z siostrą chodzić do przedszkola - codziennie ~~przez~~ wracałyśmy do domu z jakimś "prezenterem". Starsza siostra rozbierała nas i robiła przegląd bielizny i głów. Nie było gęstych grzebieni, nie było mydła, więc wszystko utrudniało utrzymanie higieny, ale najbardziej utrudniały tę sprawę ścisłe kontakty z miejscową ludnością. Tam <sup>nie</sup> było takiego dziecka, które by nie miało zawszonej głowy.

Kiedy ~~w tym~~ po jakimś czasie dotarła do nas pierwsza polska gazeta "Orzeł Biały" - to było coś wspaniałego. Gazetę czytało się po kilka razy tam i z powrotem, bo to był jeden z niewielu polskich tekstów, który ~~mi~~ mieliśmy w Aleksiejewce. Wtedy wstąpiła w nas nadzieja, że być może odnajdzie się tatuś, ~~ponieważ~~ dowiedzieliśmy się, że ogłoszono amnestię dla wywiezionych i aresztowanych mężczyzn. ~~Kiedy~~ zaczęto wypuszczać ludzi z łagrów, codziennie czekaliśmy na tatusia. Liczyliśmy na to, że może ktoś przekaze mu wiadomości o naszym miejscu pobytu, bo często ludzie odnajdowali się w niezwykle sposób. Przez naszą wieś przechodziło co najmniej trzech panów zwolnionych z łagrów, którzy szli do swoich rodzin. ~~W~~  
Dobrze zapamiętałam pana Lutostańskiego, który zatrzymał się u nas na trochę dłużej.

Codziennie czekaliśmy, że może jakoś nas odnajdzie i przyjedzie, bo od pewnego czasu <sup>tatusia</sup> prowadziliśmy poszukiwania przez Czerwony Krzyż. Powstała w Kustanaju Delegatura Ambasady R.P. i mamusia parokrotnie chodziła do Kustanaju. Nie można powiedzieć "jeździła", ponieważ podwożono ją tylko na małych odcinkach wołami, przewożącymi zboże. Już zniesiono ograniczenia dotyczące naszego poruszania się i zapanała w tej dziedzinie pewna wolność. Kiedy pierwszy raz przemierzała ma-

musia tę trasę (liczącą zaledwie około czterdziestu kilometrów), to w ciągu jednego dnia do Kustanaju ~~panie~~ dotarła, ~~pod wieczór cały transport (zboża) zatrzymał się w kazachskiej wiosce pod Kustanajem, gdzie spędzono noc. Następnego dnia dopiero odszukała mamusia Delegaturę.~~ Wtedy już zorganizowano dla Polaków pewną pomoc i pamiętam, że między innymi były robione na drutach skarpety, które myśmy przerabiali i robiło się z nich długie, ciepłe pończochy. Poza tym dostaliśmy szaliki, z których robiło się chustki, zeszywając dwa szaliki razem. Jednym słowem z pierwszej wyprawy do Delegatury przywiozła mamusia trochę rzeczy nie tylko dla nas, ale i dla innych Polaków. W ten sposób obwołano mamusię "mężem zaufania", gdyż mimo że nie była osobą szczególnie energiczną, to jednak potrafiła coś dla grupy załatwić. Z którejś z wypraw przywiozła na przykład smalec dla całej Aleksiejewki (tzn. dla wszystkich Polaków) i jakieś jeszcze rzeczy, których już nie pamiętam. Była to nadzwyczajna pomoc, a przede wszystkim wielka radość, że ktoś o nas wie i jakoś się o nas stara. Towarzyszyła temu nadzieja, że może kiedyś wrócimy do kraju.

~~W styczniu 1942 roku mój brat Zbyszek postanowił wstąpić do wojska, gdyż dowiedział się, że powstaje Armia Polska. Dowiedzieliśmy się z prasy, że koncentracja wojska następuje w Buzukuku i brat, jako ochotnik, tam się udał. Pożegnaliśmy go, popłakałyśmy - z jednej strony ciesząc się, że wyrwa się z tego kołchozu, z drugiej jednak zdawałyśmy sobie sprawę, że idzie do wojska, jest wojna, więc różnie może się zdarzyć. Jeszcze jedna pociecha, to nadzieja na spotkanie z tatusiem, który (jak sądziliśmy) też z lagru powinien być trafić do wojska, jeśli nie do nas.~~

W styczniu 1942 roku mój brat Zbyszek postanowił wstąpić do wojska, gdyż dowiedział się, że ~~powstaje~~ Armia Polska. Dowiedzieliśmy się z prasy, że koncentracja wojska następuje w Buzukuku i brat, jako ochotnik, tam się udał. Pożegnaliśmy go, popłakałyśmy - z jednej strony ciesząc się, że wyrwa się z tego kołchozu, z drugiej jednak zdawałyśmy sobie sprawę, że idzie do wojska, jest wojna, więc różnie może się <sup>dzisiaj</sup> zdarzyć. Jeszcze jedna pociecha, to nadzieja na spotkanie z tatusiem, który (jak sądziliśmy) też z lagru powinien być trafić do wojska, jeśli nie do nas. Z Kustanaju bardzo szybko do wojska poszła pani doktor Nieświatowska, która była z nami serdecznie zaprzyjaźniona, bardzo nam życzliwa. Pani doktor poszła do wojska ze starszym synem, a młodszego wysłała do Polski jeszcze przed rozpoczęciem wojny radziecko-niemieckiej, korzystając z jakichś nadzwyczajnych możliwości. Mąż pani doktor został w Krakowie i tam też został odesłany Staszek. Z panią doktor Nieświatowską i jej synem Jędrkiem poszedł do wojska pan Magoński, jej brat.

Pani doktor postarała się dla nas (cozym dowiedzieliśmy się znacznie później) o tzw. "wyzow", czyli coś w rodzaju zaproszenia czy poręczenia za rodzinę. I w takim wypadku rodzina mogła wyjechać gdzieś w pobliże wojska. Przyjeżdżała wów-

czas grupa żołnierzy z listą i wyczytywała nazwiska osób, za które ktoś poręczył. Dzięki temu wiele rodzin polskich wyjechało z Kustanaju. Potem ludzie ci ~~poruszali się~~ ~~razem z wojskiem i znaleźli się w Afryce, albo w innych miejscach świata,~~ (np. w Indiach, o czym wiadomo mi już z opowiadań powojennych). Myśmy w ogóle nie dowiedzieli się w porę, że dla nas takie poręczenie przyszło. Pan, który te sprawy załatwiał zabrał prawdopodobnie zamiast nas kogoś innego.

W 1942 roku mniej więcej w czerwcu mamusia przeniosła się do Kustanaju, a nieco wcześniej, bo już w maju przeniosłyśmy się my, pod opieką starszej siostry, do szkoły. Dowiedzieliśmy się bowiem w jakimś momencie, że powstała polska szkoła i jest nawet internat. W szkole tej były chyba tylko trzy klasy, a może nawet dwie: ogólna podstawowa i ogólna gimnazjalna. Ta podstawowa to była piąta klasa (może zresztą było więcej klas, ale nie wiadomo mi dokładnie nic na ten temat). ~~Była starsza siostra zorientowała się jak to wszystko wygląda - zapisała mnie do szkoły i do internatu, który prowadziła Polka, pani Szczesna. Internat była to jedna izba w ziemiance, na skraju Kustanaju, z tej jego strony, gdzie znajdował się muzułmański cmentarz. W tej ziemiance zamieszkało kilka dziewcząt z opiekunką, między innymi ja i moja siostra.~~

Zacząło się nowe życie dla nas wszystkich, a dla mnie w szczególności. Przez cały czas bardzo tęskniłam za szkołą, z zazdrością patrzyłam w Aleksiejewce na dzieci chodzące do szkoły, ale rosyjska szkoła specjalnie mnie nie pociągała. Kiedy więc okazało się, że mogę chodzić do polskiej szkoły nie posiadałam się z radości. Zanim jednak zostałam do tej szkoły przyjęta, poddano mnie egzaminowi. Muszę przypomnieć, że kiedy zaczęła się wojna chodziłam (a właściwie miałam chodzić do IV-tej klasy, którą potem Rosjanie przemianowali na III-cią). Przez cały czas pobytu w ZSRR (do tego właśnie momentu) w ogóle nie chodziłam do szkoły. Pamiętam nawet taki moment, że kiedy nas wywożono, to chciałam zabrać ze sobą teczkę ze wszystkimi szkolnymi przyborami, ale sąsiadka wyrwała mi ją, wyrzuciła wszystko ze środka i zapakowała do niej jakieś potrzebniejsze rzeczy. Od tej pory nie miałam kontaktu ze szkolnymi podręcznikami. Egzamin w Kustanaju jednak zdałam: z j. polskiego wypadłam bardzo dobrze, z arytmetyki nieco gorzej, ale po tych egzaminach przyjęto mnie do klasy piątej. Do tej szkoły chodziłam od końca kwietnia do 10 lipca - wtedy był tam koniec roku. Niedługo trwało to chodzenie do szko-

ły, -ale/na koniec roku otrzymałam świadectwo ukończenia klasy. Uczyliśmy się tam między innymi religii i była tam kaplica, więc pierwszy raz od tylu lat mogłam chodzić do kościoła. Było sporo młodzieży, a w internacie miałam bardzo miłe koleżanki. Nie wszystkie pamiętam, ale zapamiętałam na przykład Huskę Łankiewicz, Jadzię Łankiewicz, (ich siostra Wanda poszła już w ~~yt~~ tym czasie do wojska), Danusię Zapletal. Starsza siostra tymczasem chodziła do którejś gimnazjalnej (nie pamiętam, która to była klasa). Niestety wszystko to szybko się skończyło, bo już po wakacjach lekcji nie wznowiono. W jakimś momencie dowiedzieliśmy się, że zerwano umowę i znowu staliśmy się wrogami jak poprzednio; umowę Sikorski-Majski zerwano, Delegaturę <sup>jei pracowników aresztowano</sup> opieczętowano, a wszystko co tam było zabrano. Dopiero po jakimś czasie ~~prywatnie~~, wszystkie te rzeczy, które tam zostały (m.in. z ~~UNRE~~ UNRE-y) przejął Związek Patriotów Polskich i rozdawano je już nie wszystkim Polakom, tylko tym, którzy się do tego Związku zapisali. Mamusia powiedziała, że za łyżkę smalcu się nie sprzeda i do ZPP się nie zapisze.

Kiedy skończyły się wakacje (początkowo nawet nie podejrzewaliśmy, że to jest w ogóle koniec wszelkiej nauki), ~~td~~ nie wracaliśmy ~~już~~ do Aleksiejewki, ~~td~~ tam mamusia wszystko już zlikwidowała, tylko przeprowadziliśmy się do Zatołokowki. Był to tzw. "rajonny centr", czyli odpowiednik jakby miasta powiatowego. W istocie była to po prostu duża wieś, znacznie mniejsza, oczywiście, od Kustanaju, leżąca w odległości 3 - 4 km od ~~Kustanaju~~ niego. Mamusia postanowiła (wtedy, gdy chodziłyśmy jeszcze do szkoły) zamieszkać w pobliżu nas i jakoś nad nami czuwać, a w Kustanaju nie mogła znaleźć ~~już~~ mieszkania. W Zatołokowce zamieszkała mamusia z dwiema paniami, ~~xxxxxxx~~ Góralczykową i Bednarzową - w ziemiance. Tam też po skończonej nauce przyjechałyśmy my.

Nadeszło lato i trzeba było iść do pracy. Starsza siostra poszła do pracy w sółdzielni krawieckiej, mamusia zatrudniła się w jakiś zakładzie, gdzie wytłaczano guziki ze skóry jakimś specjalnym przyrządem i robiono w nich dziureczki. Co-dziennie chodziła do Kustanaju, gdzie znajdowała się ta fabryczka. Ja natomiast zaczęłam w lecie pracować w ogrodzie kołchozowym i nawet w jakimś momencie zrobiono mnie stróżem tego ogrodu. Miałam wtedy trzynaście lat i pilnowałam niewydarzonych ogórków. Wszystko to było późno siane, mocno podeschnięte.

Nasza ziemianka pełna była ludzi, ponieważ ~~xxxxxxx~~ obie panie mieszkające z

nami miały dzieci: pani Bednarzowa - syna Zbyszka, który mniej więcej był w moim wieku, a pani Góralczykowa miała córkę, Jadwigę, urodzoną mniej więcej ok. 1926 roku. O ile pamiętam p. Góralczykowa miała też syna, który był w wojsku u Andersa. Wieczorami, gdy leżeliśmy już wszyscy po ciemku (nie było czym świecić) na narach, to spędzaliśmy czas na opowiadaniach. Opowiadało się wtedy filmy albo przepisy kulinarne, które przypominały sobie starsze panie.

Z przyjemnością wspominam pewne wydarzenie związane z dniem 24. VI., czyli z okresem, kiedy jeszcze chodziłam do szkoły w Kustanaju. Otóż zorganizowano tam (oczywiście Polacy) uroczystość związaną ze starosłowiańskimi tradycjami. Ubrano nas w zwiewne szatki z gazy i szłyśmy z wiankami nad Tobał i tam puszczałyśmy te wianki nad wodę. Przy tym recytowałyśmy wiersze do słowiańskich bogów - <sup>1</sup>Światowida i innych. Wywoływało to nie tylko zdziwienie, ale i <sup>1</sup>coś w rodzaju zazdrości wśród przygodnych obserwatorów - Rosjan. Nie tylko dlatego, że tego typu zwyczajów tam nie znano, ale i w związku z tym, że tam nic nie organizowano spontanicznie, a wszystko odgórnie.

Przez to pierwsze lato w Zatobołowce zajmowałam się różnymi drobnymi pracami. Oprócz pilnowania ogórków w kołchozowym ogrodzie pomagałam też sąsiadom zbierać "kiziak", z <sup>1</sup>za co też jakieś wynagrodzenie dostawałam. Natomiast na zimę przenieśliśmy się do Kwoczki - gospodyni oszczędnej i pracowitej, której kiedyś wszystko odebrano z wyjątkiem przyzwoitego domu i kawałka obejścia z ogrodkiem. Były tam dwa czy trzy drzewka z rajskimi jabłuszkami i budziły one zazdrość, bo na tym terenie chyba w żadnym innym ogródku nie rosły. (Pod Kustanajem był jedyny państwowy sad, jedyny w promieniu wielu kilometrów i rosły tam właśnie rajskie jabłuszka). Kwoczkińska przyjęła nas do siebie i zamieszkaliśmy w szopie na podwórku. Pomagałam jej w noszeniu wody dla domu i dla bydła, myłam naczynia, szorowałam podłogę, <sup>1</sup>akiedy ~~prz~~ zbliżała się zima - <sup>no, zimą</sup> piłowaliśmy <sup>(a jej synem drzeło)</sup> drewno. Na tamtych terenach, a zwłaszcza tam, gdzie mieszkaliśmy poprzednio drzewa właściwie nie rosły, ale niedaleko Kustanaju był jakiś niby zagajnik. Prawdopodobnie właśnie stamtąd Kwoczkińska zdołała jakieś drewno. Pamiętam, że z jej synem Walką piłowaliśmy <sup>1</sup>rabaliśmy <sup>v</sup>po trochu to drewno na zimę! W ten sposób upłynęła jesień 1942 roku, a na zimę Kwoczkińska zabrała nas do siebie do mieszkania, bo w szopie już nie można byłoby wytrzymać. Jednocześnie przeniosła się do Kwoczkińskiej pracownia krawiecka,

więc mogliśmy tylko w nocy przebywać w tym pomieszczeniu; dom składał się właściwie z mieszkalnej izby i kuchni. Myślę, że gospodyni wynajęła ten pokój na pracownię po to, żeby jakoś się przysłużyć władzom miejscowym. Mąż tej kobiety przebywał w Karragandzie w jakiejś kopalni i kiedyś pozwolono jej do niego pojechać. Potem opowiadała mi siostra (było to już po naszym wyprowadzeniu się stamtąd, prawdopodobnie w następnym roku), że pozwolono Kwoczkinie przywieźć wreszcie męża do domu, ponieważ był ciężko chory i nie było już z niego pożytku w kopalni. Wkrótce po przywiezieniu go do domu człowiek ten zmarł. Nie wiem ile lat spędził w tej kopalni w straszliwych warunkach, a znalazł się tam pewnie jako kułak. Kwoczkińska była szczęśliwa, że udało mu się umrzeć we własnym łóżku, przy rodzinie.

Zajmowałyśmy u Kwoczkińskich pokój, gdzie mamusia z młodszą siostrą zajmowała duże, paradne łożo, a na podłodze na sienniku spałyśmy my ze starszą siostrą. Na dzień wszystko to się zaścielało i rano zaczynał pracę zespół szwaczek; między nimiusia (Janina), ~~starsza siostra~~. W ciągu zimy pomagałam też robić swetry na drutach. Bardzo ostrożnie pruło się jakieś stare rzeczy, z których potemusia potrafiła coś zrobić, dlatego było trochę zamówień. W Żatobolowce mniej było możliwości zdobycia pożywienia, gdyż nie była to jednak taka zwyczajna wieś. W związku z tym jednak, że mamusia i starsza siostra pracowały - my z młodszą siostrą jako członkowie rodziny dostawałyśmy po trochę chleba. Były kartki i na nie trzeba było wykupywać chleb. Było to również moje zadanie. Często chodziło się jeszcze ciemną nocą, lub wczesnym świtem i stało się na trzeskającym mrozie pod sklepem w kolejce, bo mimo że kartki były, to chleba i tak mogło nie starczyć. Nie pamiętam już jaka porcja nam przysługiwała, ale było tego bardzo niewiele. Chleb też był różny: czasem był niezły, w przenno - razowy, ale często dodawano do tego chleba inne rodzaje zboża np. jęczmień, proso, a czasem nawet z pszenicą mielono ziarna piołunu i w związku z tym chleb był gorzki, ciężki i sypiący się. Nawiasem mówiąc obserwowaliśmy rosnące zboże, które było dorodne i ~~krótkie~~ wysokie (były tam żywe czarnoziemy), ale było straszliwie zapuszczone, zarobione niezliczonymi chwastami. Wydawało się, że więcej jest w nim piołunu niż samego zboża. Potem nikt oczywiście tego zboża nie czyścił i w rezultacie chleb był gorzki. ~~Była to oczywiście strasznie przykre sprawa, bo niedość-je~~

Inną kolejka, <sup>w której stałam żeby zdobyć</sup> ~~gdzie zdobywałam~~ jedzenie, była kolejka w stołówce. Miałam dwulitrową bańkę, z którą chodziłam po kluski. Oczywiście, nie można było ich kupować bez ograniczeń, tylko w niewielkiej ilości. Wyglądało to tak, że kluski były na samym dnie, a bańka wypełniona była wodą, z której połowę odlewałam. Zarówno chleb jak i to jedzenie w stołówce kupowało się za pieniądze. Te niewielkie pieniądze zarabiała mamusia i starsza siostra. Możliwość kupna klusek wiele dla nas znaczyła, gdyż mieliśmy coraz mniej rzeczy, które możnaby sprzedać, tzn. wymienić na makę czy inną żywność.

Do moich zajęć należała też pomoc <sup>mojej siostrze przy szyciu,</sup> ~~wszystkim pracownikom w k-~~ <sup>w której pracowała siostra</sup> ~~pracownikom siostry~~. Ponieważ była już wojna, pracownia, <sup>ta</sup> miała obowiązek uszycia jakiejś ilości koszul dla wojska miesięcznie. Były to najprostsze koszule z surówki, zawiązywane na troczki. Pomagałam ~~nie~~ <sup>nie</sup> Nusi, ~~szycząc~~ <sup>szycząc</sup> ~~np. rękawy, czy troczki~~. Dzięki temu siostra mogła zająć się czasem po pracy szyciem prywatnym.

Nawiasem mówiąc dzięki temu, że ~~kxxx~~ wszyscy w naszej rodzinie pracowali, jak kto mógł i że mamusia okazała się bardzo praktyczna i zapobiegliwa - nigdy naprawdę nie głodowaliśmy. Jednak warunki, w jakich żyli Polacy na zesłaniu były bardzo różne. Część ludzi liczyła na szybki powrót do kraju i sprzedawała od razu wszystko, co się dało sprzedać, a uzyskane z tych transakcji jedzenie przejadała. Potem niejednokrotnie widziałam, że niektórzy z Polaków po prostu zebrali. Dzieci z rodzin wielodzietnych chodziły po wsi i prosiły o jedzenie. ~~xxx~~ W Zatołłowce widziałam, jak wyglądała pani Dziwotowa. Była widocznie bardzo niezaradna; wyglądała szalenie nędznie, była umęczona i schorowana. Miała dwóch małych synków. Kiedyś dowiedziałam się, że kobieta ta umarła w strasznej nędzy w stajni, gdyż gospodarze, u których mieszkała pierwotnie - wyrzucili ją. Nie wiem, dlaczego nikt z Polaków nie zainteresował się nią. Nie pamiętam już nawet imion jej synków. Po jej śmierci zabrano ich do domu dziecka - nie wiadomo, czy w dorosłym życiu zdawali sobie sprawę, że są Polakami.

Wśród <sup>ludzi</sup> ~~Polaków~~, z którymi zetknęliśmy się w Zatołłowce pamiętam naszych bliskich sąsiadów, czyli  ~~wspomnianą już~~ panią Niwińską z trojgiem dzieci i szwagierką, noszącą to samo nazwisko. O ile pamiętam, obie panie to były Ireny. Dzieci no-



siły imiona: Teresa, Alina i Krzysztof. Ten ostatni miał sześć lat, Alina ok. dziewięciu, a Teresa była z 1927 roku. Poza tym mieszkała w Zatołkowce pani Szutkowska z córką Janiną. Poza tym była tam pani Łankiewiczowa z trzema córkami (czwarta poszła do wojska, do Armii Andersa). Wspominałam już o nich ~~przy~~ ~~xxx~~ mówiąc o internacie i szkole.

Mieszkając w Zatołkowce obserwowaliśmy jak przywożono ludzi z Kaukazu: Czeceńców i Inguszców. ~~Mówię o tym dlatego, że już wcześniej wspomniałam o wywozieniu na te tereny najróżniejszych narodowości, a poza tym~~ Był to widok, którego nigdy nie zapomnę. Działo się to w środku zimy 1942 roku. Pod naszym domem biegła droga, która ze stacji z Kustanaj<sup>u</sup> wieziono dalej do innych wsi sałmi mnóstwo ludzi. Ubrani byli w kaukaskie charakterystyczne stroje: burki i piękne czapy; spore jednak wśród nich było biedoty, a może po prostu nie pozwolono im się przygotować do drogi - w każdym razie pamiętam, że kiedy na zaspie przechylili się sennie pod naszym domem, to wysyrały się z nich prawie nagie dzieci. Niektórzy z tych ludzi zatrzymywali się u nas kilka godzin i gospodyni pozwoliła im wejść do domu, ogrzać się i pogotować jedzenie. Obserwowałam kaukaskie kobiety, kiedy bardzo sprawnie robiły kukurydziane placki i różne inne dania.

Po zimie 1942/43 przyszły roztopy i Toboł rozlał tak, że trudno się było poruszać. W niektórych partiach Zatołkowki stała woda, tak że właściwie ~~nie~~ pływało się łożkami między domami.

Kiedy zaczęły się roboty polowe - poszłam do pracy. Chodziło o przygotowywanie pola pod uprawę ogórków - a ściślej o system nawadniający. Ten system, niestety, zaczęło się robić wtedy, kiedy ziemia wyschła już na skałę i żeby usyrać wały i wykopać rowy, trzeba było się posługiwać wręcz kilofami. Pamiętam, że pracowałam w strasznym palącym słońcu i grzbiet miałam spalony jak Murzyn. Muszę przyznać, że nawet lubiłam taką ~~xxx~~ pracę fizyczną, tym bardziej, że pracowało się z całym zespołem. Przykre było tylko to, że efekty były niewspółmierne do wysiłku, gdyż wszystko zaczynało się (jak zwykle tam) po prostu za późno. Kiedy wreszcie system nawadniający był gotowy i kiedy ~~wreszcie~~ po bardzo długim czasie zawiązały się małe ogórki i buraki (trzeba wspomnieć, że na prywatnych poletkach, które po trochu pozwolono chłopcom obsiewać, ogórki były już dawno)

- to kazano mi tych wrzyw pilnować, gdyż chłopcy pasący bydło próbowali się do nich dobierać. Nie trwało to długo, ale przez pewien czas byłem stróżem. Oczywiście, kiedy zjawiała się gromada chłopaków, chowałam się w rowie i nie próbowałam interweniować, bo się bałam.

Kiedy nadeszła pora zbiorów, to naładowano mi buraki na wóz i w jakimś momencie musiałam całkiem sama powozić parą krów. Krowy były bardzo wynędzniałe i nie dawały już wcale mleka, nie było tam nawet wołów, nie mówiąc już o koniach. Słynna radziecka mechanizacja to oczywiście nity, bo samochodów nie było wcale. Kiedy usiadałam na wozie i usiłowałam powozić, to krowy, straszliwie spragnione popędziły do podeschniętego bajora i nie byłam w stanie nad nimi zupełnie zapanować. Wjechaliśmy w pędzie do tego stawu, gdzie krowy ugrzęzły po brzuchy, koła do połowy. Ja wyskoczyłam z ~~wozu~~ wozu bokiem i popędziłam<sup>m</sup> po mężczyzn z prośbą o pomoc. Po drodze straszili mnie różni ludzie, że mogę odpowiadać nawet przed sądem, jeśli się coś krowom stanie (np. jeśli się przeziębą), ale ostatecznie nic mi nie zrobiono.

Wszystko przebiegało wciąż takim samym trybem. Przyszła zima 1943/44. Nic specjalnie istotnego w Zatobołowce nie działo się, poza tym, że działał już Związek Patriotów<sup>m</sup>/Polskich, z którym myśmy nie mieli żadnego kontaktu, ~~ale~~ <sup>jednak</sup> jakieś odgłosy ich działalności do nas dochodziły. Dowiedzieliśmy się, że prawdopodobnie będą na nowo organizowali szkołę, ale w tym momencie nie miało to większego znaczenia. Tę zimę spędziliśmy jeszcze u Kwoczkiny.

Chciałabym wspomnieć też, jak obchodziliśmy Święta. W wielu wypadkach, przy ruchomych świętach, takich jak np. Wieńkanoc, mogliśmy o nich nie wiedzieć, bo przecież nie było aktualnych kalendarzy. Żadnego kościoła, oprócz okresu działalności Delegatury RP - nie było. Nie było też w całej okolicy, nawet w Kustanaju żadnej cerkwi. Obchodziliśmy większe święta w dorach, zbierając się w polskim gronie. Mieliśmy książeczki do nabożeństwa i modliliśmy się wspólnie (np. na nabożeństwa majowe). Poza tym staraliśmy się zachować wierność tradycji i np. na Święta Bożego Narodzenia robiliśmy choinki z krzaków "pierekatipolja", na których wieszaliśmy malowane jakimś atramentem, albo buraczanym sokiem łańcuchy, robione z pociętych broszur politycznych. Na tę uroczystość mamusia przemasowała trochę maki i robiliśmy jakieś precelki, które też się zawieszało na "choince". Pamiętam też jedne bardzo biedne Święta w Zatobołowce, kiedy już nie mieliśmy nic do sprzedania i nie było prawie jedzenia - wtedy mamusia zrobiła z ot-

Nie pamiętam dokładnie czy pod koniec, czy w środku zimy znalazłyśmy się w Kustanaju. Stało się to tak, że siostrę przeniesiono do pracowni krawieckiej w Kustanaju, do pracowni, która podlegała bezpośrednio instytucji pod nazwą <sup>WOJENTORG</sup> Wojentorg. Myślę, że oni mieli ogromne możliwości, jak to zwykle z wojskiem bywa, ~~xx~~ Siostra dała się już poznać jako zdolna i pomysłowa krawcowa, wobec czego ~~ściągnięto~~ ją do tej pracowni, a mamusia też nie bardzo mogła chodzić codziennie taką ilość kilometrów do pracy. W związku z tym chętnie przeniosłyśmy się do Kustanaju. Tam zamieszkałyśmy na skraju miasta u tej samej gospodyni, która kiedyś prowadziła nasz internat. Była ona biedną wdową, ~~z~~ właściwie nie wiadomo czy wdową - w każdym razie mąż był na froncie i nie pisał już od wielu lat, wobec czego kobieta borykała się sama usiłując utrzymać siebie i dwóch małych synków. Bardzo chętnie też odstąpiła nam jedno pomieszczenie w tej swojej ziemiance, ponieważ jakoś rewanżowałyśmy się za to mieszkanie.

Kiedy stopniały pierwsze śniegi, chodziłyśmy na pobliskie kołchozowe pola, żeby wykopywać ziemniaki, które przez zimę leżały w ziemi. Były one, oczywiście, całkowicie przemarznięte, ale w jesieni nie można było ich zbierać, bo było to karalne. Podobnie nie można było zbierać kłosek zboża pozostałych na polu po zbieraczach - kołchoźnikach. Natomiast na przedwiośniu nikt na to nie zwracał już uwagi. ~~Myśmy zbierały te ziemniaki, gotowało się je, tarko i mamusia robiła z tego placki.~~ Innym pożywieniem, po które chodziłyśmy daleko w step, była polna cebula czy rodzaj czosnku. Chodziłyśmy zbierać to i jedliśmy całymi pęczkami, bo przecież nie było tam żadnej zieleniny. Poza tym w dalszym ciągu dostawałyśmy kartki, a poza tym siostra zawsze dostawała jakąś dodatkową kartkę za pracę, bo bardzo żonom wojskowych zależało na niej jako na krawcowej. Gdzieś w jakiejś stołówce można też było kupić coś w rodzaju kapuśniaku; była to prawie sama woda z odrobiną ziemniaków i paroma płatkami kapusty, ale po zlaniu wody z tych kilku porcji zostawało coś na dnie w bańce. Siostra miała poza tym utrzymanie w stołówce, tam gdzie pracowała. Było nam więc już ~~niepraxxxxnie~~ <sup>trochę</sup> lepiej. Wymienianie rzeczy ~~xx~~ zupełnie w Kustanaju odpadło.

[Nadchodziło już lato i coraz bardziej realna stawała się możliwość pójścia do szkoły, bo wydzielono nam budynek na szkołę <sup>o</sup> polską. Był to dość zdewastowany dom po radzieckiej szkole, który musieliśmy sami wyremontować. Społecznym wy-

siłkiem. doprowadziliśmy remont do końca, ale zanim go skończyliśmy - już zaczęła się nauka. Lekcje odbywały się popołudniami, być może ze względu na temperaturę. Uczyliśmy się wtedy, gdy dzieci radzieckie miały wakacje - a więc latem. Wszystkim zależało na czasie, bo przecież do tej pory prawie wcale nie chodziliśmy do szkoły. Klas było niewiele, a wśród nich kilka licealnych. Pamiętam z nich kilka osób. Na przykład na j. angielski (bo uczyliśmy się nawet angielskiego, o którym wcześniej nie miałam ~~zieważ~~ pojęcia) chodził ze mną Romek Zimand, który należał do przodujących. Pamiętam także Marysię Cukierman. Większość zajęć prowadzono po polsku, niektóre jednak po rosyjsku. ~~to nie ulega wątpliwości~~ Były ~~przeważnie~~ <sup>te</sup> lekcje j. rosyjskiego. Mieliśmy doskonałą nauczycielkę, bardzo miłą panią, która świetnie prowadziła lekcje. Pamiętam, że z ogromną chęcią uczyłam się tego przedmiotu. Znowu moja nauka nie trwała długo, ponieważ lekcje zaczęły się latem 1944, a już wtedy krążyły wieści, że będzie zorganizowany dla Polaków transport na Ukrainę. W tej sprawie mamusia "trzymała już rękę na pulsie", bo uważała, że to zawsze bliżej domu i trzeba będzie jechać. Zdania wśród Polaków były na ten temat podzielone, bowiem niektórzy uważali, że skoro niedawno przetoczył się front przez tamte tereny, to może tam być jak najgorzej. Ci, którzy pracowali gdzieś w stołówkach i ~~xxx~~ nieźle sobie radzili ze zdobywaniem jedzenia uważali, że lepiej będzie przeczekać tam do końca wojny. Mamusia jednak mawiała, że z Ukrainy, to nawet na kolanach dojdzie do Polski, a z drugiej strony nie była pewna, czy się znowu coś nie zmieni w stosunku Rosjan do Polaków.

Wniej więcej w tym czasie, a może trochę wcześniej przyszło powołanie do wojska dla mojej najstarszej siostry. Mówiło się, że chodzi tu o Wojsko Polskie, bo powstała już przecież I Dywizja. Jakoś wyreklamowano ją (po raz pierwszy, jak sobie przypominam, jeszcze w Zatożowce) dzięki temu, że w Kustanaju pracowała dla Wojentorgu. Już myślałyśmy, że nie uda się, już prawie ~~zognaliśmy~~ ją, już miała przygotowany plecak i suchary na drogę - i udało się po raz trzeci ją wyreklamować. Cały czas procentowało chyba to krawiectwo, które nie tylko nas żywiło, ale jeszcze ją uchroniło od pójścia ~~na front~~ na front. W tym czasie wiele dziewcząt polskich już zmobilizowano i były na froncie, a siostra mojej szkolnej koleżanki, Joli Andrusikiewicz, ~~zginęła~~ <sup>zginęła</sup> poległa i została pochowana gdzieś w Rosji.

W tym okresie zaczynały też powstawać jakieś zaczątki polskiego życia kulturalnego, co działo się chyba za pośrednictwem Związku Patriotów Polskich. ~~ixxxixix~~  
~~xriexri~~ Zaczęłam śpiewać w polskim chórze, który prowadził pan Józef Masny. Pamiętam, że ten chór nawet parokrotnie zaproszono do radia w Kustanaju, gdzie była mała stacja nadawcza. ~~Chór (chyba w komplecie) jest na załączonym zdjęciu~~

[Od brata nie miałyśmy żadnych wiadomości od momentu, kiedy poszedł do wojska w 1942 roku. O tatusiu też nie było wiadomości, mimo prowadzonych przez Czerwony Krzyż poszukiwań.] Prosimy też wszystkie osoby, które wcześniej wyjeżdżały z wojskiem za granicę ( a była to nie tylko p. Nieświatowska z synem i p. Magońskim, ale też p.p. Fajączkowsy z Edytą, p. Furdynowa z synem Jackiem) żeby poszukiwały tatusia i ewentualnie przekazały nasz adres. [Wreszcie krótko przed naszym wyjazdem <sup>na</sup> Ukrainę dostałyśmy dwa listy pisane w niewielkich odstępach czasu. Trudno wyrazić co to była za radość! Listy przysły do Aleksiejewki, ale stamtąd trafiły do Kustanaju. Tatus był w Armii Andersa i fakt, że wydostał się z obozu, z ZSRR, że był zdrow - cieszył nas bardzo.

Kontakt z tatusiem znowu się urwał, ponieważ wyjechaliśmy na Ukrainę. Zorganizowano transport chyba pod koniec września i ~~wyjechaliśmy~~ Kazachstanu. Jechaliśmy bardzo długim transportem, ~~zanim~~ - bardzo wielu zebrało się Polaków z Kustanaju i okolic. Jechało się znowu chyba ze dwa tygodnie, albo i dłużej. Tym razem jednak (choć były to takie same wagony, jak te, które nas wiozły do Kazachstanu) wagony były otwarte. Drzwi można było w dowolnym czasie otwierać, poza tym były one chyba nieco lepiej wyposażone. Posuwaliśmy się bardzo wolno, było wiele długich postojów, ponieważ ciągle spychano nas na boczne tory i przepuszczano pociągi wojskowe i towarowe. Ważne było jednak to, że w takim momencie można było wyskoczyć z pociągu, który był niesamowicie przepełniony. Na drogę zdobyliśmy jakieś jedzenie, przede wszystkim jednak siostrę bardzo serdecznie pożegnała w pracowni krawieckiej <sup>a</sup> i w ostatniej chwili przyniesiono na dworzec cały worek bułek. Czegoś takiego nie widzieliśmy przez wszystkie te lata! Po drodze można było w czasie postojów gotować na poboczach wodę i robić niby-herbatę. Miałyśmy ze sobą dwie cegły, a jakieś patyczki zawsze się gdzieś znalazły. Wspominam ten powrót jako coś bardzo miłego i radosnego, głównie dlatego, że jechaliśmy w stronę Ojczyzny. [Nie można nawet opowiedzieć tych przeżyć. Było tam też wielu młodych ludzi, znalazłam więcej niż do tej pory kolegów i koleżanek; poczułam, że jestem młoda, że względ-

nie normalnie zaczynamy żyć. Na stacjach wysiadały z pociągu całe grupy młodzieży, zawierało się znajomości. Mieliśmy jeszcze jakieś grosze, a na stacjach siedziały kobiety (taki był w Rosji zwyczaj) i sprzedawały pestki słonecznika. Był to smakołyk i jednocześnie rozrywka.

Nie obyło się i tutaj bez przygód, ponieważ na jednej ze stacji nie zauważyłam, że zapowiadają odjazd. Była ze mną jeszcze jakaś pani i dziewczynka, moja rówieśnica. ~~Przypadkiem~~ ~~byłam~~ ~~na~~ ~~stacji~~ ~~w~~ ~~Liskach~~. Działo się to chyba na stacji w Liskach. Zanim w pośpiechu wsiedli inni, pociąg już dawno jechał i zostałam tam tak jak stałam, wyprowadzić nie całkiem z pustymi rękami, bo z torebką, w której było kilka zdjęć i - nie wiem dlaczego - z nożem w ręce. ~~Przypadkiem~~ Miało się ku wieczorowi, a ja byłam bez dokumentów, bez ubrania, na obcej stacji. Dzień był ciepły, słoneczny, ale wieczory bardzo zimne, a zwłaszcza noce. Najgorsze było jednak to, że właściwie nie wiadomo było dokąd <sup>nas</sup> wiczają ~~transport~~ i nie można było powiedzieć komuś, kto ewentualnie chciałby nam pomóc. Władze, swoim zwyczajem, wszystko utrzymywały w tajemnicy, a myśmy starali się być zadowoleni, że znamy chociaż kierunek. Na szczęście był to ten odcinek trasy, że na Zachód prowadziły tylko jedyne tory. Trzeba było działać. Znalazłyśmy na stacji dość życzliwego urzędnika, który wskazał nam stojący opodal transport, jadący w tamtym kierunku. Okazało się, że to wracał na miejsce ewakuowany niegdyś teatr z Charkowa. Wracały ~~na~~ ~~miejsce~~ ~~urządzenia~~ ~~teatralne~~ i różni pracownicy teatru, ale nie aktorzy, bo ci jechali jakimś innym transportem. Okazało się, że wśród nich byli bardzo życzliwi ludzie i bez oporów (choć było to niespotykane, ponieważ w tym czasie panowała psychoza: podejrzania o szpiegostwo, dywersję) przyjęli nas do tego pociągu. Człowiek, który wskazał nam ten transport - jechał z nami. ~~Nawet~~ Nawet obiecał, że obudzi nas gdy <sup>nasz pociąg</sup> ~~dogonimy~~ ~~transport~~, bo on i tak musiał czuwać. Trwało to kilka godzin i w trakcie podróży posnęłyśmy ~~naszanie~~, a nad ranem obudził nas ten urzędnik, mówiąc, że nieopodal stoi pociąg, który być może jest <sup>(tym)</sup> naszym właściwym ~~transportem~~. <sup>W tym kierunku</sup> Popędziłyśmy szybko ~~do~~ ~~tego~~ ~~pociągu~~ i rzeczywiście okazało się, że jest to nasz transport. W wagonie zapanowała wielka radość, że się znalazłam; trochę mnie złążano, trochę popłakano i tak <sup>(szczęśliwie)</sup> skończyła się moja przygoda. Potem jeszcze przez dłuższy czas spotykaliśmy ten transport, który mnie podwiózł; poznałam nawet chłopca, trochę starszego ode mnie i widywaliśmy się na kilku kolejnych stacjach.

Ten chłopak podarował mi na pamiątkę podręcznik do nauki j. angielskiego.

Wreszcie dotarliśmy do Kijowa. Tutaj znowu staliśmy długo na bocznym torze i kilkadziewcąt ~~osób~~ (w tym i ja) postanowiło zwiedzić ~~miasto~~ miasto. Tym razem szczęśliwie się skończyło; pochodziłyśmy po Kreszczatiku, położonym niedaleko od dworca i/ dotarłyśmy nawet do bazaru, (chyba nazywał się Besarabski). To cośmy tam zobaczyły, wśród wojennej nędzy, wśród zniszczeń - wydawało nam się zupełnie bajkową sytuacją. Były tam półcie słoniny i mnóstwo różnych smakołyków, których już nie pamiętam. Po wieloletnim niedojadaniu wydawało nam się to wielkim bogactwem, bo takiej obfitości jedzenia i w dodatku takiego nikt z nas od bardzo dawna nie widział. Nie umiem w tej chwili powiedzieć, czy było to rzeczywiście bogactwo, czy po prostu na tle tej ogólnej nędzy tak nam się tylko wydawało.

Kiedy minęliśmy Kijów i Połtawę i inne poniejsze miejscowości, to w pewnym momencie zauważyliśmy, że zbliżamy się do dawnej polskiej granicy. ~~(z 1939 roku)~~. Był to dla nas ogromny szok. Doszliśmy do wniosku, że po prostu celowo nie powiedziano nam w Kustanaju, że jedziemy do kraju, żeby nie stwarzać jakichś niepożądanych sytuacji. Jechaliśmy jak "myszy pod młotką", żeby tego szczęścia nie zburzyć i wreszcie znaleźliśmy się za dawną granicą, czyli na terenie Polski. Kiedy pociąg zatrzymał się na jakiś czas, niektórzy z różnych wagonów (osoby samotne, samodzielne) postanowili na wszelki wypadek oderwać się od tego transportu i wyskoczyli. Rzeczywiście sporo osób wtedy zostało. My jednak baliśmy się ruszać, bo nie znaliśmy tych terenów. Kamusia bała się też, że może potem nas znajdą i za karę zesła ~~potem~~ w głąb Rosji - jednym słowem wolała nie działać na własną rękę. Zresztą takich ostrożnych było więcej. W pewnym momencie zauważyliśmy, że pociąg wraca z powrotem na Wschód. Okazało się, że to maszyniście coś się pomyliło i z rozędu ~~pojechał~~ pojechał za daleko i nie tą trasą. { Ostatecznie powieźli nas za Kijów, do Skwiry. Stamtąd jeszcze kawałek jechaliśmy wąskotorówką i przywieziono nas do miejscowości Szamrajewka. Jak nam potem opowiadano był to dawny majątek jakiegoś polskiego magnata, do którego należała między innymi cukrownia - ~~(teraz kombinat cukrowy)~~. ~~Pod ten kombinat podlegał~~ Pod ten kombinat podlegał ~~ta~~ sowchoz - Ruda. Właśnie tam nas przywieziono, wyładowano i ulokowano w ogromnej } świetlicy. Nie pamiętam ile osób i kto dokładnie był z nami. W każdym razie była pani Niwińska, pani Fednarzowa, co pamiętam z całą pewnością, ponieważ z nimi losy związały nas trwalej.

Pamiętam, że byli jeszcze państwo Gębarowscy (gdzieś spod Tarnopola), para starszych już ludzi z córką panną Genią. Te osoby, o których powiedziałam, zajmowały kąty po sąsiedzku (bo w tej świetlicy podzieliliśmy się łózkami i zapamiętałam tylko tych, którzy byli blisko ~~nas~~ nas, w tym samym kącie). Po drugiej stronie mieszkało jeszcze kilka czy kilkanaście osób z dziećmi, ale już niedokładnie pamiętam tych ludzi. Kiedy rozlokowaliśmy się tam, zabrano nas do stołówki. Była to pierwsza radość i przyjemne wrażenia, bo po raz pierwszy od lat zjedliśmy w miarę normalny obiad, którym byliśmy zachwyceni. Był to mianowicie barszcz ukraiński (może taki wojenny, ale w porównaniu z tym, co było dotychczas wydał nam się wspaniały), na drugie była kasza, mocno rozgotowana i podana na mleku. Takie dwa dania udało nam się zjeść po raz pierwszy od naszego wyjazdu z Polski. Potem okazało się, że codziennie identycznie nas karmiono, czyli na obiad dostawaliśmy taki zestaw, jak wyżej opisany, na kolację kartoflanka trochę bardziej gęsta i okraszona cebulą przysmażoną na oleju; chyba też kartoflanka była na śniadanie. Do tego na kolację i śniadanie po kawałku chleba, który reglamentowano.

Już drugiego dnia wszyscy zdrowi ludzie musieli iść do pracy, bo nie karmiono nas przecież za darmo. W mojej rodzinie nie pracowała młodsza siostra, a także udało się wyreklamować od pracy mamusię, którą strasznie, w sposób widoczny złamał reumatyzm; miała nawet zniekształcone ręce i bardzo źle się wtedy czuła. Nusia i ja poszłyśmy do pracy. Ja zostałam uznana za normalną siłę roboczą (była to jesień 1944 roku, więc miałam 15 lat). Pracowaliśmy w polu. Wydawałoby się, że na Ukrainie rządzą gospodarniej, bo i tradycje inne i ziemie żyzne, to jednak zetknęliśmy się znowu z sytuacją nienajlepiej świadczącą o sowchozie. Mianowicie było już zimno, po deszczach zaczęły się mrozy, a na polu była skoszona kukurydza. Leżały całe wały tej kukurydzy i chodziło o to, żeby te zmarznięte kolby kukurydzy wybierać. Praca była bardzo ciężka, choć już do tej pory nie mało się napracowałam fizycznie, ale tutaj człowiek był cały czas pochylony, ~~ixwxzwxzkwzwxztxxx~~ a poza tym kolby były zamrażnięte. Z czasem mamusia uszyła nam rękawiczki z jednym palcem. Tego rodzaju praca trwała wiele, wiele dni. Potem pracowaliśmy w jakimś sowchozowym pomieszczeniu przy łuskaniu tej kukurydzy. Były ustawione takie młynki i wrzucało się do nich kolby, kręciło ~~się~~ kolbę i zostawało ziarno. Dostałam pęcherzy na rękach, ponieważ to kręcenie było również bardzo ciężkim zajęciem.



W czasie głębokiej zimy również się pracowało, oczywiście w pomieszczeniach. Do naszych zajęć należało między innymi suszenie zboża. Ja pracowałam w jednej parze z Teresą Niwińską, z którą musiałyśmy nosić sześćdziesięcio-kilogramowe skrzynie ze zbożem na strych. Dźwigałyśmy też na plecach wory z kukurydzą i wносиłyśmy je na bardzo strome schody. Pamiętam, że kiedy przychodziłam do domu po pracy, byłam zwykle ledwie żywa.

Nie mówiłam do tej pory o starszej siostrze, ale jej historia wymaga osobnego wspomnienia. Otóż Nusia razem z moją koleżanką z internatu, Janką Piacko, postanowiły wyruszyć nielegalnie do Polski. Janka była osobą samodzielną; jej matka zmarła w Kazachstanie, brat był w Armii Andersa, a ojciec został przypadkiem w kraju. Siostra chciała ~~po~~ przedostaniu się do kraju, załatwić ściągnięcie nas do Polski. Dowiedzieliśmy się bowiem, że taka możliwość istnieje, trzeba było tylko formalnie załatwić zaproszenie i pozwolenie. W związku z tym mamusia, choć z ciężkim sercem, zgodziła się <sup>V</sup>na wyprawę Nusi - była to przecież jakaś nadzieja dla całej rodziny. Siostra miała wtedy 20 lat, a Janka ok. 16. (było to przed Bożym Narodzeniem 1944). Dziewczyny pod jakimś pretekstem zwolniły się z pracy i złączyłyśmy je, idące przez pola w stronę Szamrajewki, a potem Skwiry.

Wracając do ~~przemyśle~~ opowieści o nyskich zajęciach w sowchozie, muszę wspomnieć o pracach przy szatkowaniu kapusty, tarceniu marchewki, a przedtem jeszcze o ciężkiej robocie przy kopcowaniu ziemniaków.

Nie było w sowchozie żadnych rozrywek. Jedynie w niedzielę szłyśmy czasem z Teresą do Szamrajewki. ~~Wax~~ Wieczorami siadywało się w ~~której~~ świetlicy przy wspólnym stole i młodzi ludzie (przychodzili tam między innymi miejscowi Rosjanie i Ukraińcy) i grali ~~my~~ w "durnia". Zrobiliśmy sobie sami karty do gry.

Bardzo przykrym dla mnie wydarzeniem był zastrzał u kciuka prawej ręki. Zlekceważyłam sobie to w pierwszej chwili, a potem, <sup>zanim</sup> ~~zanim~~ poszłam do lekarza minęło już trochę czasu. Dopiero, kiedy uderzyłam tym palcem o coś i o mało nie zemdląłam - wtedy brygadier uznał, że jestem chora i pozwolił mi iść do domu. Poszłam z mamusią do lekarza do Szamrajewki, on nawet nic nie zrobił, bo już chyba na wszystko było za późno. Na dodatek przeziębilałam ten palec i do dzisiaj mam pamiątkę po tym zdarzeniu.

Minęła zima, a od siostry nie miałyśmy żadnych wiadomości. Mamusia straszliwie

przeżywała tę sytuację: z jednej strony nie był<sup>1</sup> wiadom<sup>2</sup> jak czują się tatuś i brat, ~~na dodatek ta sytuacja~~ <sup>i jeszcze</sup> siostr<sup>2</sup>~~ę~~. ~~Wychodziły do nas jedynie~~ <sup>docho</sup>do nas jedynie strzępy różnych informacji o sytuacji ~~na~~ ogólnej. Dowiedzieliśmy się, że wojna toczy się już na ziemiach polskich. Dużo później dotarły do nas wiadomości o Powstaniu Warszawskim, natomiast nie znaleźliśmy żadnych szczegółów. Pewne było jedynie, że Armia Radziecka posuwa się na Zachód i dzięki temu czuliśmy, że zbliżamy się do kraju. Była nadzieja, że ~~w~~ raczej prędzej niż później do siebie wrócimy. ]

Poza tym od czasu do czasu dochodziły do nas wieści z sąsiednich miejscowości (to przecież porozwożono nas tak jak poprzednio), że niektórzy otrzymali z kraju takie zaproszenia ("wyzow"), w których rodzina (bo tylko rodzina mogła coś takiego zrobić) bierze na siebie całkowitą odpowiedzialność za tych, których zaprasza. Taki papier był jedynie podstawą do starania się o wyjazd w NKWD. Jak pamiętam, NKWD zaczęło stopniowo takie zezwolenia wydawać. Nawet z naszego pokoju, tzn. świetlicy, ktoś otrzymał zgodę na wyjazd.

Dyrektor naszego sowchozu chyba się nawet cieszył, że Polacy stopniowo oficjalnie wyjeżdżają do Polski, ponieważ nasz zespół, który mu podrzucono, nie był najlepszy. Przeważali ~~tu~~ w nim ludzie starzy, chorzy i trochę dzieci, natomiast siły roboczej takiej jak ja, Teresa i jeszcze kilkoro innych - było stosunkowo niewiele. Karmić jednak musieli wszystkich, dlatego że w tej wsi nie było poza tym żadnych innych środków utrzymania. W mojej rodzinie pracowałam tylko ja, a jak znam te stosunki, to myślę, że przejadaliśmy więcej niż zarabiałam. (Choć wysilałam się bardzo, bo zawsze chciałam być "przodownicą" - inaczej niż inni, mądrzejsi ode mnie, którzy uważali, że tam się nie warto zbytnie wysilać). Jednym słowem władze miejscowe jakoś nawet sprzyjały nam w tych staraniach o wyjazd.

W miarę, jak zbliżała się wiosna, coraz częściej mówiliśmy o wyjeździe, tylko czekało się na lepszą pogodę. Kiedy wreszcie sprawa wyjazdu "dojrzała" w marcu 1945, to dyrektor obiecał nawet, że da nam transport do wąskotorówki. Rzeczywiście - sałmi podwieziono nas do ~~Skwiry, xxxxx~~ Szamrajewki, a stamtąd do Skwiry jechała wąskotorówka. Ze Skwiry była już normalna kolej. Oczywiście ~~z~~ przewodniczący nie wiedział, że nie mamy prawa dostać się do pociągu, ale trzeba mu oddać sprawiedliwość, że pożegnał nas życzliwie i coś tam dał do zjedzenia, choć w zasadzie zaopatrzenie na drogę załatwiły same panie. ] W naszej grupie było XII jedenaście osób: pani

Niwińska z trojgiem dzieci, pani Bednarzowa z synem, państwo Gębarowscy i my we trójkę. Nie mieliśmy ze sobą jakichś specjalnych rzeczy, bo wszystko, co cenniejsze zostało już dawno sprzedane, ~~kierzyliśmy przykłodem pozielek~~. Wszystkie<sup>re</sup> panie, przygotowując się do podróży, chodziły na czarny rynek do Szamrajewki i resztki rzeczy posprzedawały. Mamusia z całej pościeli zostawiła tylko wsyp od pierzyny, a sprzedawała nawet pierze. Zostawiła też na wszelki wypadek, na początek jakieś powłoczki i prześcieradło, jeden obrus. [Za wszystkie sprzedane rzeczy panie kupiły sporo słoniny i samogonu, który porozlewały do świarteczek, słoninę pokrajały na kawałki i to była nasza waluta, nasze bilety na przejazd i w ogóle całe nasze zabezpieczenie. Porysł, jak się okazało, był dobry, bo jechaliśmy nielegalnie, czyli bez zezwolenia NKWD. W związku z tym ~~nie mogliśmy~~ nie mogliśmy kupić biletu ~~bez~~ bez "delegacji" nie można było nawet podejść do kasy <sup>1</sup>. Bez papierka nie można się było nawet dostać na dworzec, nie mówiąc już o wejściu do poczekalni.

Wyruszyliśmy może troszkę za wcześnie, ponieważ zima była wtedy ciężka i bardzo długa. Wszystko było zaśnieżone ~~jak u środka zimy~~ i panowały na Ukrainie mrozy wręcz trzeskające. [Myśmy byli poubierani nienajlepiej. Ja miałam buty z cholewani przerobione kiedyś z butów tatusia. Najpierw nosiła je Nusia, a po jej odej-  
~~ja jej~~ ściu, odziedziczyłam, lecz ich podeszwy prawie całkiem się już wydarły. Nogi mi tak zmarzły, że prawie nie czułam naczym chodzić. Powoli posuwaliśmy się na Zachód, wsiadając do różnych pociągów po drodze. ~~Ważbarziszekxktedxxxxzzzłixxxxx~~  
~~xierynzs~~. Podjeżdżaliśmy na przykład bez czyjejkolwiek zgody węglarką, albo nas<sup>1</sup> ktoś lokował w jakimś kolejnym pociągu. Kiedy tak jechaliśmy, to na każdej stacyjce przychodzili jacyś robotnicy kolejowi, bo nawzajem się zawiadamiali, że tam jadą "zajcy", czyli gapowicze i że od nich można coś uzyskać. Kolejno też panie wyjmowały kawałek słoniny i buteleczkę samogonu. Dzięki temu posuwaliśmy się do przodu i to starczało nam i za dokumenty i za bilety. Co prawda ci ludzie byli straszliwie zachłanni i wydzierali nam ile się dało, więc niełatwo było ich zaspokoić. W ten sposób dotarliśmy ~~do kilku dniach~~ do Żmerinki po kilku dniach przebywania w nieogrzewanych wagonach, albo ~~gizisx~~ wystawania gdzieś pod budynkami stacyjnymi, ale nigdy w ogrzewanym pomieszczeniu. Tam, na tej stacji ktoś, kto wydawał nam się życzliwy zaprosił nas do siebie do domu. Paniątam z jaką wdzięcznością przyjęliśmy to zaproszenie. Rozłożyliśmy się w ~~xi~~ jakimś pomie-

szczeniu na podłodze i dano nam do wypicia ciepłe mleko. ~~Wiemie byśmy się zrewan-~~  
~~żowali w jakiś sposób, - ale nie pamiętam jak to było załatwiane!~~ Powiono nam, że  
pomoc jest bezinteresowna. Pożegnaliśmy się bardzo serdecznie i dopiero w czasie  
jazdy następnym pociągiem okazało się, że każdej z naszych rodzin coś z worków  
wyciągnięto. Nam chyba ukradziono jakąś poszwę. To było bardzo przykre przeżycie,  
nawet nie dlatego, że się coś straciło, tylko najprzykrzejsze było rozczarowanie  
ogromne do ludzi, którzy wydali nam się życzliwi, serdeczni i ciepłi. Prawdę mó-  
wić w ciągu tych paru lat niewiele zaznaliśmy takiego prywatnego złodziejstwa.  
Nasze domy nie były jakoś zabezpieczone, ale nie pamiętam, żeby kogoś z naszego  
otoczenia okradziono. Kradzieże były zjawiskiem powszechnym, ale wtedy kradło się  
"państwowe", a nigdy prywatne.

Ruszyliśmy dalej. Kolejne stacje, jazda pociągiem wciąż opłacana w ten sam  
sposób i wreszcie nam się poszczęściło, bo kiedyśy szli poboczami stacji, stara-  
jąc się nie rzucać specjalnie w oczy, to podszedł do nas ~~taki~~ człowieczek wyglą-  
dający dość podejrzanie i zapytał, czy jesteśmy Polakami. Pani Niwińska z młodych  
lat znała bardzo dobrze rosyjski (pochodziła gdzieś z okolic Warszawy) i porozu-  
miewanie się należało do niej. Wydawało nam się, że w ten sposób unikniemy podejrzeń  
jeśli będzie rozmawiała z napotkanymi ludźmi osoba znająca ten język prawidłowo. ~~W~~  
Prawdopodobnie jednak i tak rzucaliśmy w się w oczy na pierwszy rzut oka, bo by-  
liśmy prawie obdarci, ale te rzeczy, która jeszcze się na nas jako tako trzymały  
były wyraźnie "zagrabiczne". Kiedy ten człowiek nas zapytał, pani Niwińska od-  
powiedziała dość energicznie, że nie musi go to interesować. A on ~~stwier-~~  
dził, że myślał że jesteśmy Polakami i że może nas zainteresuje podwiezienie do  
Tarnopola, bo on właśnie jedzie w tamtą stronę. Wtedy odezwaliliśmy się chętnie,  
bo warto było ryzykować. I wtedy pani Niwińska dowiedziała się od niego, że jedzie  
wojskowy transport do Tarnopola i że oni mogą nas podwieźć, tylko musimy im za-  
płacić żywnością. Zgodziliśmy się na to, więc zaprowadził nas do "ciepłuszki"  
czyli ogrzewanego wagonu, tam był jeszcze jakiś "lejtnant", sympatyczny, prosty  
człowiek i chyba nie było nikogo więcej. Okazało się, że pracownicy tego pociągu  
nie mieli kartki, które realizowali na większych stacjach. W Kijowie zapowiedziano  
im dłuższy postój, wobec czego część tego konwoju, kilku ludzi poszło do miasta,  
~~żeby coś kupić~~  
zrealizować kartki. Zabrali ze sobą kartki wszystkich osób z konwoju. Tymczasem

pociąg nagle ruszył i reszta nie zdążyła jeszcze dogonić swojego transportu. Jak się okazało "nasi" konwojenci zostali właściwie bez środków do życia, głodni i stąd ta propozycja wobec nas. Cała nasza grupa jechała dalej stosunkowo wygodnie pociągiem, dzięki temu nieporozumieniu. Najważniejsze jednak, że wreszcie było ciepło. Jakimś skromnym jedzeniem, które mieliśmy ze sobą dzieliliśmy się z tymi mężczyznami i chyba dostali od nas troszkę alkoholu.

~~xxx~~ Jechaliśmy chyba dojechaliśmy do Tarnopola, gdzie chyba mieszkali przed wojną Gębarowscy. Zostało nas ~~chyba~~ dziewięcioro. Kiedyśmy się już zbliżyli z konwojentami - okazało się, że jadą do Lwowa. Była to kolejna radosna niespodzianka, ponieważ mamusia zamierzała wrócić do Lwowa. Pani Bednarzowa pochodziła spod Rzeszowa, ale wywieziono ją z Borysławia. Postanowiła wrócić do Rzeszowa. Pani Miwińska była wywieziona chyba z Janowa (Lubelskiego?), a jej rodzina mieszkała koło Warszawy, dokąd też zamierzała dotrzeć. W każdym razie dla nas wszystkich Lwów był już nadzieją na znalezienia jakiegoś oparcia wśród rodziny, czy znajomych. Po wielu godzinach, wczesnym ranem wysiedliśmy na stacji (chyba na Zamarstynowie). Stamtąd ruszyliśmy przed siebie i ja poczułam się przewodniczką, mimo że przed wojną byłam za mała, żeby dobrze poznać to miasto. Zapytaliśmy kogoś o drogę, a potem szliśmy dalej. Ludzie zwracali na nas uwagę, już było we Lwowie ciepło, świeciło pięknie słońce, tylko gdzieś niegdzie leżał śnieg. Koło dworca nie było zbyt pięknie, zwłaszcza po przejściu frontu; wszystko wydawało się brudnawe i podniszczone, ale tutaj czułam się jak gospodarz. Kiedyśmy doszli do śródmieścia, to stamtąd ja już prowadziłam na Filipówkę. Dobiliśmy wreszcie do naszego domu na ulicy Lubeckiego, gdzie przed wojną mieszkaliśmy na pierwszym piętrze. Okazało się, że w naszym mieszkaniu mieszkają obcy ludzie i dozorca, pan Sosulski, a na parterze mieszkają tak jak przed wojną państwo Niemozykowie i ktoś jeszcze, dokwaterowany. Oni nas przyjęli z otwartymi ramionami, bardzo serdecznie i gościnnie, jak bywało w tamtych stronach. Zeszli się sąsiedzi i znajomi znajomych. Opowiadaliśmy o wszystkich tych przeżyciach.

Poza tym postanowiłam Teresie pokazać Lwów. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest to miasto czasu wojny, że dopiero niedawno przetoczył się tędy front. Pokazałam jej różne miejsca, oglądałyśmy wystawy, ludzi. Dziewczyny chodziły w takich płaszczkach rozkloszowanych od pasa, wykańczanych futrem, kieszenie były przyszywane z futra i rękawy, a kołnierze często z lisa. Noszono też duże filcowe berety

na nogach oficerki. Płaszczki i w ogóle odzież były krótkie. Patrzyłam na te eleganckie dziewczęta z zazdrością, ale i z jakąś przyjemnością, że wreszcie jesteśmy w innym świecie. Chociaż to już nie był <sup>tem</sup> sam świat. Kiedyśmy wróciły do domu, już ~~się~~ zmierzchało, bo dni nie były jeszcze długie (to był wciąż marzec), wówczas spotkałyśmy się ze <sup>tu</sup> sztalną burą, bo się okazało, że niebezpiecznie było w tym czasie chodzić i może była jeszcze wtedy godzina policyjna we Lwowie, o czym myśmy nie wiedziały.

Następnego dnia mamusia poszła załatwiać wyjazd. Nie zamierzałyśmy wcale zostać we Lwowie, wiedząc już, że Lwów nie będzie nasz. Rodzina nasza mieszkała w Sanoku, czyli już za Sanem, z dala od tego cośmy przeszli, więc bez większego zastanowienia ~~się~~ mamusia zaczęła załatwiać ten wyjazd. Kiedyśmy wyjeżdżali z Ukrainy, to dyrektor (czy raczej przewodniczący) kołchozu dał nam takie papierki, na których było napisane, że udajemy się do miejsca naszego poprzedniego zamieszkania. Był to jedyny nasz dokument (nawiasem mówiąc, mieliśmy nadzieję, że przewodniczący <sup>toż</sup> ~~nie miał~~ <sup>nie miał</sup> żadnej nieprzyjemności z tego powodu, bo, jak wiadomo, wyjeżdżaliśmy bez zgody NKWD). Z tymi naszymi papierkami mamusia udała się do PUR-u, czyli Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, żeby załatwić wyjazd do Polski. Od momentu, gdy otrzymałyśmy papiery na wyjazd jako repatriantki, jechałyśmy już absolutnie legalnie. Usiłowałyśmy dopchać się do zatłoczonych wagonów już bez strachu i otwarcie. W ten sposób, z niemiłym trudem przekroczyłyśmy granicę, której jeszcze wtedy formalnie nie było, ~~także nie mieliśmy żadnych problemów~~. Nikt nas wtedy nie sprawdzał i nie odczułyśmy, że w ogóle przekraczamy granicę. Jechałyśmy różnymi sposobami: czasami z wojskiem, czasami szłyśmy wiele kilometrów pieszo (np. koło Krosna, gdzie nie było przejazdu). Po drodze odeszła od nas najpierw rodzina Niwińskich, a potem pani Bednarzowa. Wreszcie dotarłyśmy do Sanoka, gdzie spotkałyśmy po drodze kogoś, kogo mamusia знаła i zapytała o rodzinę swojej siostry. Ten ktoś skierował nas właściwy adres. Kiedyśmy tak szły, to stale ktoś nas zaczepiał i pytał, czy wracamy z Niemiec, a myśmy odpowiadały, że z Sybiru. Zdumienie było ogromne, bo chyba należałyśmy do pierwszej "partii" powracających stamtąd. Na miejscu byłyśmy jeszcze przed Wielkanocą, która w tamtym roku była wyjątkowo wczesna. Najpierw zatrzymałyśmy się na dzień u cici w Sanoku, a potem dotarłyśmy do wujka, mieszkającego pod Sanokiem, w Bukowsku. Było tam więcej rodziny

i tam właśnie mieszkał mamusi brat z rodziną, a kiedyś mieszkali także młodzień-  
kowie (wtedy żyła już tylko babcia). Tam spędziłyśmy pierwsze po wojnie Święta  
Wielkanocne.

Muszę też opowiedzieć o dalszych losach mojej starszej siostry, która wyszła  
z Rudy z Janką Piackówną. Siostra przeszła tę samą drogę, jaką przeszłyśmy my,  
dotarła też do Lwowa, a potem do Sanoka - ale przecież były to dwie zupełnie sa-  
motne, młodziutkie dziewczyny. Ludzie zachowywali się wobec nich różnie - niektó-  
rzy brali je w opiekę, inni próbowali wykorzystać; na szczęście jednak, cudem  
dotarły obie do Bukowskiej i zdążyły jeszcze na Boże Narodzenie. Zaraz po Świę-  
tachusia zaczęła się krzątać wokół sprawy naszego powrotu i usiłowała zała-  
twić dla nas to zaproszenie. Znalazł się jakiś człowiek, który obiecał wysłać  
dokument z "tej drugiej strony", jak się wówczas mówiło. Miał nam wysłać również  
pieniądze. Wujek opłacił tego człowieka sówicie, ale nic do nas nie dotarło.  
Już po raz drugi ludzie wspierali nas w taki sam sposób i znów trafiło na ko-  
goś nieuczciwego.

Po pewnym czasie do Sanoka przyszły listy od tatusia. Było to tuż po zakończe-  
niu wojny. Okazało się, że zostało wysłanych mnóstwo kart pocztowych, z których  
tylko nieliczne doszły. Tatuś wysyłał celowo wiadomości do rodziny mamusi, licząc  
na to, że ktoś z tej rodziny przeżył i być może ma jakieś wiadomości o nas.  
Najważniejsza dla nas kartka przyszła z Włoch, już po bitwie pod Monte Cassino,  
więc wierzyłyśmy, że tatuś jest zdrowy i cały. Dowiedziałyśmy się też, że w woj-  
sku spotkał brata. Zbyszka. Radość, oczywiście, była ogromna, bo przecież zdawa-  
łyśmy sobie sprawę, że trwa wojna, że Armia Andersa bierze udział w wielu bitwach  
i cały czas niepokoiliśmy się o nich. Nawet, kiedy skończyła się wojna (kartka  
od tatusia z informacją, że obaj żyją przyszła <sup>dopiero</sup> w końcu maja) mamusia mówiła, że dla  
naszej rodziny wojna nie skończy się, dopóki nie dowiemy się o los naszych bliskich.  
Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie zrobiły na nas te wiadomości.

Jeśli chodzi o dzieje ojca, który już nie żyje i nie może mojej relacji uzu-  
pełnić, to pamiętam trochę z opowiadań. Żałuję, że tak niewiele pytałam i niewie-  
le zostało mi w pamięci. ~~Większą~~ Tatuś przeszedł przez <sup>ltzw.</sup> Brygidki we Lwowie, a potem  
w więzieniu oddzielono go od wujka Adama Felczarskiego, z którym był aresztowany.  
Nie znam też czasu wywiezienia ojca nad ~~Janiszyn~~ Jenisej, gdzie przebywał w lagrze.

Wiadomo jak było w takich miejscach i szczegółów nie muszę tu opowiadać, ale ważne jest to, jak radził sobie tatuś. Był on taką "złotą rączką" - potrafił wszystko zrobić, a przy tym był dość odważny, jeśli chodzi o podejmowanie się różnorodnych prac. <sup>Kiedyś mł.</sup> W Qagrze potrzebowano zdunów <sup>U</sup> i pytano, kto w kuchni potrafi zrobić piec, to tatuś (oczywiście trochę "na wyrost") podjął się tej roboty. Nie wiem skąd miał pojęcie o tego typu <sup>zajcu</sup> ~~robotach~~. ~~Przez~~ W każdym razie przy ~~tego~~ typu dorywczej ~~robotach~~ pracy jakoś korzystał. Jednak podstawowym zadaniem więźniów była budowa kolei do Dudinki.

Jeśli chodzi o wyjście do Armii Polskiej - to wcale nie poinformowano Polaków o ogłoszonej amnestii, tylko zupełnie przypadkowo, któryś ze współwięźniów dostał gazetę na skręty i z <sup>jej</sup> fragmentu dowiedział się o tym i ogłosił <sup>o wiadomości</sup> ~~to~~ wśród więźniów, którzy w odpowiedzi ~~na to~~ zorganizowali głodówkę. Wtedy już prawdopodobnie jakoś musiano się z tym liczyć, bo wkrótce im ogłoszono amnestię. Szczęśliwie dzięki temu nie przebywał w lagrach tak długo, jak część innych więźniów, bo w sumie około dwóch lat. Stamtąd dotarł do Armii Andersa.

Z kolei brat po dotarciu ~~przez~~ z Armią Polską do Iraku, zupełnie przypadkiem dowiedział się z jakiejś rozmowy, że przebywa tu także tatuś. W najbliższą niedzielę, gdy brat dostał przepustkę, wybrał się do sąsiedniego obozu, gdzie spotykał się z tatusem ojca. Spotkanie było wzruszające, co można sobie wyobrazić - i od tej pory stale już byli w kontakcie. Tatuś w momencie aresztowania miał 41 lat, więc w tym momencie musiał mieć mniej więcej 43 lata i ze względu na wiek nie ~~brał~~ walczył na pierwszej linii frontu, tylko w oddziałach pomocniczych. Dlatego też ~~nie~~ przebywał w tym samym oddziale co brat.

Tak ~~zakończyły~~ zakończyły się wojenne dzieje naszej rodziny, z której, na szczęście nikt nie zginął. Tatuś i brat wrócili do kraju - nam też, jak opowiadałam, udało się powrócić.

Jeśli chodzi o konsekwencje mojego dorastania na zesłaniu, to najistotniejszą było chyba to, że w Rosji nauczyłam się "dwumyślenia". ~~Przez~~ Wobec rozpowszechnionych szeroko w okresie stalinowskim ankiet personalnych miałam ustalone z góry odpowiedzi. Umówiliśmy się z rodzeństwem, że najlepiej będzie nie wdawać się z nikim w szczegóły naszego pobytu w Rosji. O sprawie tatusia mówiliśmy, że poszedł na wojnę i nie wrócił - nigdy nie przyznawaliśmy się, że był aresztowany w domu. Zaczę-



były się wtedy dodatkowe pytania, których chcieliśmy uniknąć. Raz tylko zostałam wzięta w krzyżowy ogień pytań dotyczących ~~mojej przeszłości~~ przeszłości mojej i mojej rodziny. Kiedy zdawałam egzamin wstępny na studia do Wrocławia, egzaminator, p. Samuel Sandler, polonista, zamiast przepytawać mnie z ~~przebiegu~~ z zakresu wiedzy przewidzianej programem - zaczął studiować moją ankietę personalną i przeprowadził ze mną normalne przesłuchanie, po którym wyszłam zupełnie zdruzgotana. Wy- 42  
warł na mnie taką presję, że powiedziałam wszystko, co chciał usłyszeć i kazał mi jeszcze wpisać to do życiorysu. Myślałam, że nie dostanę się na studia z tego powodu, ale jednak przyjęto mnie, tylko nie na sławistykę, jak chciałam, ale na ~~rusycystykę~~ na rusycystykę, którą właśnie organizowano.

Już w czasie studiów zdarzały się takie paradoksalne sytuacje, że gdy jako niezłą studentkę usiłowano wybierać mnie do jakichś organizacji, czy działalności społecznej (a ja nie miałam zupełnie ochoty uczestniczenia w tym) - mówiłam, że mam coś na sumieniu, bo tatuś był w Armii Andersa - natychmiast zostawiano mnie w spokoju.

-42-

INDEKS CSCB

---

- Jadwiga Hładusz, z domu Zatwarnicka - matka Ireny Galster, wywieziona do Kazachstanu ze Lwowa (13.IV.1940 r.), potem przetransportowana na Ukrainę, powróciła w 1945r.
- Stefan Hładusz - ojciec Ireny Galster, aresztowany we Lwowie (10.IV.1940), przebywał w lagrze nad Jenisejem, w 1942 przedostał się do Armii Andersa
- Janina Hładusz - starsza siostra Ireny Galster, wywieziona do Kazachstanu (13.IV.1940) przebywała w obwodzie m. Kustanaj, przetransportowana na Ukrainę (1944), przedostała się nielegalnie do Polski w grx końcu 1944 r.
- Zbigniew Hładusz - brat Ireny Galster, wywieziony do Kazachstanu (13.IV.1940), przebywał w obwodzie miasta Kustanaj, w 1942 przedostał się do Armii Andersa
- Maria Hładusz - młodsza siostra Ireny Galster, wywieziona do Kazachstanu (13.IV.1940) przebywała w obwodzie miasta Kustanaj, w 1944 przetransportowana na Ukrainę, powróciła nielegalnie do Polski w marcu 1945r.
- Adam Felczarski - przed wojną służył w KCF-ie, aresztowany ze Stefanem Hładuszem we Lwowie 10.IV.1940 r., zaginiony
- Józef Felczarski - lekarz, aresztowany we Lwowie 10.IV.1940 r., zaginiony
- Nieświatowska - lekarz, wywieziona do Kazachstanu (13.IV.1940), przebywała w Kustanaju, wyruszyła z Armią Andersa w 1942 roku
- Andrzej Nieświatowski - syn doktor Nieświatowskiej, wywieziony do Kazachstanu (13.IV.1940r.), przebywał w Kustanaju, wyruszył z Armią Andersa w 1942r.
- Stanisław Nieświatowski - młodszy syn doktor Nieświatowskiej, wywieziony do Kazachstanu (13.IV.1940), przebywał w Kustanaju, następnie przewieziony do ojca do Krakowa <sup>mecenas</sup>
- Nagoński - brat doktor Nieświatowskiej, wywieziony do Kazachstanu ze Lwowa (13.IV.1940) przebywał w Kustanaju, wyruszył z Armią Andersa w 1942 roku.
- Młodnicki - profesor gimnazjalny (przedm. klasyczne), wywieziony ze Lwowa do Kazachstanu (13.IV.1940), przebywał w obwodzie miasta Kustanaj
- Młodnicka - żona profesora Młodnickiego, wywieziona ze Lwowa do Kazachstanu (13.IV.1940) przebywała w obwodzie miasta Kustanaj
- Pajaczkowski - przed wojną starosta w Tarnopolu, wywieziony do Kazachstanu (13.IV.1940) przebywał w obwodzie miasta Kustanaj
- Pajaczkowska - żona Pajaczkowskiego, wywieziona do Kustanaju (13.IV.1940), przebywała w obwodzie miasta Kustanaj
- Edyta Pajaczkowska - córka państwa Pajaczkowskich, wywieziona do Kazachstanu 13.IV.1940r

Stańkiewicz,- krawiec, wywieziony ze Lwowa do Kazachstanu (13.IV.1940), przebywał w obwodzie miasta Kustanaj, wywieziony w 1941r. do lagru za odmowę przyjęcia radzieckiego paszportu

Stankiewiczowa - żona stankiewicza, wywieziona ze Lwowa do Kazachstanu (13.IV.1940), przebywała w obwodzie miasta Kustanaj, aresztowana wraz z mężem za odmowę przyjęcia radzieckiego paszportu i zesłana do lagru w 1941 roku

Furdynowa - żona oficera WP, wywieziona ze Lwowa do Kazachstanu (13.IV.1940), przebywała w obwodzie miasta Kustanaj

Jacek Furdyna, wywieziony do Kazachstanu ze Lwowa wraz z matką (13.IV.1940), przebywał w obwodzie miasta Kustanaj

Jetłowa - żona pułkownika WP, wywieziona do Kazachstanu ze Lwowa (13.IV.1940) przebywała w obwodzie miasta Kustanaj

Frausowa - żona pułkownika WP, wywieziona do Kazachstanu ze Lwowa (13.IV.1940) przebywała w obwodzie miasta Kustanaj

Wanda Lutostańska - przebywała w Kazachstanie w obwodzie miasta Kustanaj, aresztowana w 1941 roku za odmowę przyjęcia radzieckiego paszportu i zesłana do lagru

Lutostański - ojciec Wandy, wypuszczony z lagru w 1942 roku, trafił do obwodu miasta Kustanaj w poszukiwaniu córki

rodzina Didenków - wywieziona do Kazachstanu rodzina ukraińskich chłopów spod Kijowa

Szczęśna - wywieziona do Kazachstanu, prowadziła internat dla polskich dziewcząt chodzących do szkoły w Kustanaju

Bednarzowa - wywieziona do Kazachstanu, przebywała w Zatońkowie, w obwodzie miasta Kustanaj, w 1944 r. przetransportowana na Ukrainę, skąd nielegalnie powróciła do Polski w marcu 1945 roku.

Zbigniew Bednarz - syn Bednarzowej, przebywał z matką na zesłaniu w Kazachstanie, w Zatońkowie, obwodzie miasta Kustanaj, w 1944 roku przetransportowany na Ukrainę, skąd nielegalnie powrócił do Polski w marcu 1945 roku

Góralczykowa - wywieziona do Kazachstanu, przebywała w Zatońkowie, w obwodzie miasta Kustanaj, przetransportowana na Ukrainę w 1944 roku, skąd powróciła nielegalnie do Polski w marcu 1945 roku

Jadwiga Góralczykowa - wywieziona wraz z matką do Kazachstanu, przebywała w Zato-

bołowce, w obwodzie miasta Kustanaj, przetransportowana na Ukrainę w 1944 roku, skąd nielegalnie powróciła do Polski w marcu 1945 roku

Irena Niwińska - wywieziona do Kazachstanu, przebywała w Zatołowce, w obwodzie miasta Kustanaj, przetransportowana na Ukrainę w 1944 roku, skąd powróciła nielegalnie do Polski w marcu 1945 roku

Teresa Niwińska - wywieziona wraz z matką do Kazachstanu, przebywała w Zatołowce, w obwodzie miasta Kustanaj, przetransportowana na Ukrainę w 1944 roku, skąd nielegalnie powróciła do Polski w marcu 1945

Alina Niwińska - wywieziona wraz z matką i rodzeństwem do Kazachstanu, gdzie przebywała w Zatołowce, w obwodzie miasta Kustanaj, przetransportowana na Ukrainę w 1944 roku, skąd powróciła nielegalnie do Polski w marcu 1945 roku

Krzysztof Niwiński - wywieziony wraz z matką i rodzeństwem do Kazachstanu, przebywał w Zatołowce, w obwodzie miasta Kustanaj, przetransportowany na Ukrainę w 1944 roku, skąd powrócił nielegalnie do Polski w marcu 1945

Irena Niwińska - szwagierka (żona brata) p. Niwińskiej), wywieziona do Kazachstanu, przebywała w obwodzie miasta Kustanaj

Szutkowska - wywieziona do Kazachstanu, przebywała w Zatołowce, w obwodzie miasta Kustanaj

Janina Szutkowska - wywieziona wraz z matką do Kazachstanu, przebywała w Zatołowce, w obwodzie miasta Kustanaj

Łankiewiczowa - wywieziona wraz z trzema córkami do Kazachstanu, przebywała w Zatołowce, w obwodzie Kustanaju

Wanda Łankiewiczówna - wywieziona do Kazachstanu wraz z matką i siostrami, w 1942 wyruszyła z Armią Andersa

Jadzia Łankiewiczówna - wywieziona wraz z matką i siostrami do Kazachstanu, przebywała w Zatołowce, uczęszczała do szkoły polskiej przy Delegaturze RP w Kustanaju

Nusia Łankiewiczówna - wywieziona wraz z matką i siostrami do Kazachstanu, przebywała w Zatołowce, uczęszczała do szkoły polskiej przy Delegaturze RP w Kustanaju

Danuta Zapletal - ~~xxxxxxxxxxxx~~ wywieziona do Kazachstanu, uczęszczała do szkoły polskiej przy Delegaturze RP w Kustanaju

Roman Zimand - wywieziony do Kazachstanu, uczęszczał do szkoły polskiej przy Delegaturze RP w Kustanaju

Marysia Cukierman - wywieziona do Kazachstanu, uczeszczała do szkoły polskiej przy Delegaturze RP w Kustanaju

Gębarowski - wywieziony do Kazachstanu, przetransportowany na Ukrainę w 1944 roku, skąd powrócił nielegalnie do Polski w marcu 1945 roku

Gębarowska - żona Gębarowskiego, wywieziona do Kazachstanu, przetransportowana na Ukrainę w 1944 roku, skąd powróciła nielegalnie do Polski w marcu 1945 roku

Eugenia Gębarowska - wywieziona wraz z rodzicami do Kazachstanu, przetransportowana na Ukrainę, skąd powróciła nielegalnie do Polski w marcu 1945

Janina Piackówna - wywieziona do Kazachstanu, skąd przetransportowana na Ukrainę, skąd nielegalnie powróciła do Polski wraz z Janiną Hładuszną w końcu 1944 roku

Eziwłowa - wywieziona do Kazachstanu, przebywała w Zatobołowce, w obwodzie miasta Kustanaj, gdzie zmarła z głodu i wyczerpania ok. 1943 r.

Helena Steinke - wywieziona do Kazachstanu, przebywała w Zatobołowce w obwodzie miasta Kustanaj w latach 1942 - 43

Ryszard Steinke - syn p. Steinke, wywieziony wraz z matką do Kazachstanu, przebywał w Zatobołowce, w obwodzie miasta Kustanaj w latach 1942 - 43

Staniszewska - wywieziona do Kazachstanu, przebywała w Zatobołowce w l. 1942- 43

Łudwika Kassikowa - wywieziona do Kazachstanu, była nauczycielką w szkole polskiej przy Delegaturze RP w Kustanaju w r. 1942

Branisław Piacko - wywieziony do Kazachstanu, wyruszył z Armią Andersa w 1942 roku

Skład chóru polskiego w Kustanaju w 1944 roku

Jaworska, Janina Fociechówna Luca Fertig, Doda Fertig, Strukowska, Faluszkiewicz, Helena Czerkawska, Wanda Frey, Renia Firgang, Janka Stasiakówna, Krysia Noworól, Krysia Firgang, Cierłowska, Zofia Stecówna, Janka Kamińska, Pella Lewandowska, Jola Andrusikiewicz, Wanda Kapuścińska, Irena Hładuszną, Helena Wałęgowa, Wawara Pawłówna, Józef Masny (kierownik chóru), Masna

*Antonyłowicz*